Ostrzeżenie! Czasopismo kwestionuje obowiązujące narracje i nie dba o morale Narodu

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 46 (1886) ● 13–19 listopada 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl cba5344298

WOJNA DOMOWA

W chłodne sobotnie popołudnie 24-latek z Ostrowca Świętokrzyskiego wjechał ukradzionym ojcu samochodem Subaru na krakowski rynek i zaczął strzelać do ludzi. Zabił sześcioro, zanim – po czterech minutach – dopadli go dwaj policjanci, których też zdążył ciężko zranić. Nazajutrz okazało się, że w nocy, w domu zastrzelił ojca, matkę i siostrę. Wydawałoby się, że tego typu zdarzenie – bezprecedensowe w historii Polski – choć na chwilę oderwie nasz dyskurs publiczny od wojny pozycyjnej tusko-kaczyńskiej, ale gdzie tam. Najpierw Marcin Kierwiński z powagi urzędu szefa MSW orzekł, że sprawca był pod wpływem „skrajnie prawicowych ideologii", po czym Jarosław Kaczyński wystąpił w charakterze nożyc i nazwał enuncjację Kierwińskiego „bezczelnym kłamstwem", co z kolei wskazuje, że PiS odpuszcza legendę „centroprawicy" i utożsamia się z prawacką ekstremą. A potem to już było z górki.

Premier Tusk dostrzegł w krakowskim dramacie inną okazję i na posiedzeniu rządu ogłosił, że „to jest dobry zbieg okoliczności", że „właśnie dzisiaj" – cztery dni po zamachu – Rada Ministrów przystępuje do pracy nad „zaostrzeniem przepisów, jeżeli chodzi o ataki na funkcjonariuszy policji; przyjmiemy – jestem przekonany, że bez zbędnych dyskusji – projekt ustawy, dzięki której każdy atak na funkcjonariusza z przedmiotem, który może zagrażać jego zdrowiu lub życiu, będzie mógł być karany dziesięcioma latami więzienia". Mamy cichą nadzieję, że jednak jakaś dyskusja – jeśli nie na rządzie, to w sejmie – się pojawi, bo liczba przedmiotów, które funkcjonariusz może uznać za zagrażające swojemu zdrowiu i życiu jest praktycznie nieskończona, i może nie każda zasługuje na 10 lat pierdla.

Szef Telewizji Republika red. Sakiewicz akurat był na krakowskim rynku podczas sobotniego ataku i nadawał na żywo. Niestety, Sakiewicz nie dostrzegł 30 patroli policji, które w ciągu paru minut się tam zjawiły i poinformował widzów, że wszystkie krakowskie psy są w Warszawie, bo pilnują Trybunału Konstytucyjnego. Co było próbą powrócenia do tematu dla opozycji znacznie wygodniejszego: a mianowicie nocnego przejęcia TK przez władzę, do jakiego doszło tydzień wcześniej w atmosferze, którą PiS określiło mianem „zamachu stanu", a władza – „przywracania praworządności". To ostatnie budzi wątpliwości niektórych specjalistów od praworządności – także tych generalnie antypisowskich, jak prof. Matczak czy prof. Wiącek – nieprzekonanych przez argumenty sędzi Korwin-Piotrowskiej, która obwołała się szefową TK wobec „stanu wyższej konieczności konstytucyjnej".

Do sporu konstytucyjnego wokół TK doszedł cokolwiek groteskowy konflikt fizyczny. Karol Nawrocki, na wieść o działaniach rządu wobec TK, zawrócił samolot lecący do Senegalu i wbił się na teren Trybunału, przechodząc może nie po, ale dość brutalnie obok sędzi Korwin-Piotrowskiej, która usiłowała go powstrzymać do pewnego stopnia fizycznie. Scena, w której liczący 186 cm wzrostu mięśniak na etacie głowy państwa odpycha od swojej dość potężnej piersi czerwone szpony pani sędzi obleciała wszystkie media i w zależności od opcji, jedni zobaczyli, że Korwin-Piotrowska napadła na prezydenta, a drudzy – odwrotnie. Nas szczególnie oczarowała opowieść pani sędzi, rocznik 1969, jak to „chodzi na pilates, czyli ćwiczenia wzmacniające wszystkie mięśnie środka" wobec czego „odruchowo przyjęła taką postawę, że napięła wszystkie mięśnie i bardzo mocno stanęła na ziemi", albowiem „musiała zmobilizować swój organizm do tego, żeby to natarcie wytrzymać". Może jesteśmy małostkowi, ale tak nam się wydaje, że nie jest to szczególnie trafny moment na chwalenie się fitnessem.

Na pomoc władzy przybyła odsiecz z Europy: szefowa Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola wystąpiła w sejmie, żeby ogłosić, że „najtwardsza stal wykuwana jest w najgorętszym ogniu, a Polska stal, tak jak Polski duch, jest niezłomna" – i nie była to pochwała polskiego hutnictwa, tylko zachęta do pozostania w Unii. Minister Żurek postanowił przekonać obywateli, że powinni słuchać przewodniczącej Metsoli, bo jest nam bliska ideowo: „Jest to osoba, która także mentalnością jest zbliżona do Polski, bo jest Maltanką, a wiemy, że ta religijność tradycyjna polska i maltańska są bardzo blisko siebie"… No to jest rozstrzygający argument na rzecz UE.

Jednak najważniejszym wydarzeniem minionych dwóch tygodni były 102. (słownie: sto drugie) urodziny naszego autora, idola i autorytetu, prof. Andrzeja Werblana. W redakcji tygodnika „NIE" jesteśmy dumni, szczęśliwi i wdzięczni losowi, że dane jest nam znać Profesora i sąsiadować z Nim na łamach. Wszystkiego najlepszego, Profesorze!

AWŁ

BLOG Z URNY BLAGIERA URBANA

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Listopad 2014 r.



Świętego Tanguja

Szympansy umieją liczyć do dziesięciu. Gdyby je trochę podszkolić, można by z małpiarni utworzyć nową Państwową Komisję Wyborczą.

Świętego Edmonda

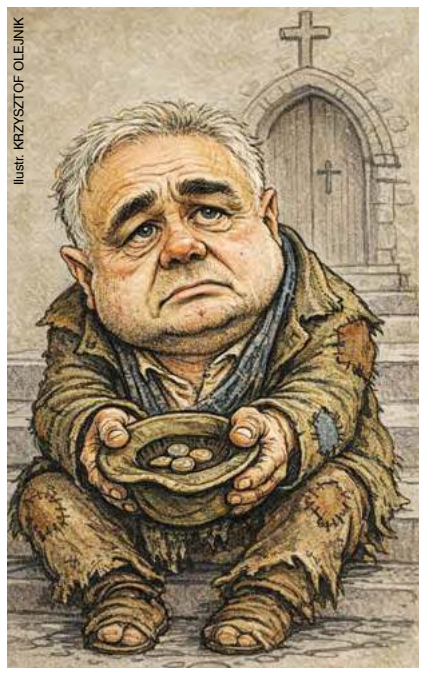
W wyborach wygrywają partie centrowe. Wobec tego lewicowe, zamiast gromadzić wyborców kontestujących, garną się do centrum, gdzie tłok. Mój Twój Ruch, delikatnie mówiąc, nie wygrał wyborów samorządowych. I teraz jest to partia ratuj się, kto może. Ruch Palikota świńską głową podbił skłonną do kontestacji młodzież. Elity powiedziały, że wabienie happeningami jest fuj. Palikot wyrzucił rekwizyty i stał się marsowym mędrcem. Elit nie pozyskał, wyborców stracił. Palikot dokonał rzeczy wielkiej. Stworzył modę na antykościelność. Liberalne media pogoniły księży jak lisa na polowaniu. Frekwencja w kościołach spadła. Oblężeni biskupi leją smołę z wałów i machają krzyżami. I wtedy akurat Twój Ruch stępia antyklerykalizm do salonowego wymiaru. Proponuje za to „emeryturę obywatelską", nie wyjaśnia, o co chodzi, i zapomina o niej, jak i o tym, że chciał budować państwowy przemysł. Nie ma lewica koniunktury? Popełnia samobójstwo i dziwi się, że nikt nie leci na wisielca.

Świętego Seweryna

Jeżeli kartele narkotykowe szukają zdeterminowanych współpracowników, to już powinni dotrzeć do firmy komputerowej, która w wyborach samorządowych miała liczyć głosy. Przypuszczam, że do żadnego legalnego interesu już nie uzyska ona dostępu. Nawet do mycia przednich szyb w samochodach, bo szkło można porysować.

Prezentacji Marii

„Gazeta Polska Codziennie" przegrała proces o zniesławienie szefa Krajowej Rady Prokuratury Zalewskiego. Ogłasza więc apel o wsparcie pieniężne, bo tylko dzięki niemu – jak pisze – istnieje. „GP"



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

jęczy, że musi ponieść koszty blisko 18 tys. zł. Raz przekonuje, że podbija rynek i przewodzi tłumom, potem skomle o pieniądze, które dla gazet są bilonem. Rekin Sakiewicz płynie żebrać pod kościół.

Świętej Cecylii

33 lata temu, gdy mój szef ogłosił stan wojenny, nie przypuszczałem, że w dalekiej przyszłości antykomunista Kaczyński zarządzi 13 grudnia 2014 r. demonstrację. I to nie przeciw komuchom, tylko przeciw demokratom i liberałom, których właśnie zamykaliśmy w owym stanie. Gdyby PiS miało w ręku wojsko, policję i służby specjalne, samo urządziłoby teraz stan wojenny i przewrót dla uzyskania władzy, której nie może osiągnąć w wyborach. Pójdzie więc wykrzyczeć swoją krzywdę na ulicy. Cóż robić, zima to nie sezon na leśną partyzantkę.

Świętego Chrystusa Króla

Śniło się. Miecińska wiozła mnie autem. Stanęła i poszła. Chodzenie jej na nogach wydało mi się czymś przerażającym, tragicznym. Zawołałem więc z auta: zawiozę cię, dokąd chcesz. Ona na to: samochód po części jedzie tam, dokąd człowiek chce, a po części tam, doką sam chce. Zagadka: dlaczego Miecińska poszła, a nie poszedła?

Świętej Flory

Miecińska jest córką Daniszewskiej. Daniszewska wciąż przerzuca widłami swoją biżuterię. Myśli: jakie klejnoty dać by dziecku. W końcu daje Miecińskiej coś do zrozumienia.

Świętej Katarzyny Labouré

Miecińska, genetyczna córka mojej trzeciej żony i jej pierwszego męża, posiada suczkę Lolę rasy koktajl. Jest to dziecko przybrane, genetycznie odrębne. Miecińska kocha swoją sukę i martwi się, że będzie żyła dłużej od niej. Psy żyją otóż krócej niż ludzie nierakowi. Lola kocha ludzkość, więc pieści wszystkich ludzi, których zna. Miecińska nie jest zazdrosna, gdyż przypuszcza, że ją Lola kocha najbardziej. I taki też powinien być stosunek mężów do ich żon, które biegają po mieście, żeby się pierdolić.

Świętej Delfiny

Moja genetyczna córeczka od żony nr 1 ma psa Kazimierza. Jego pchły sądzą, że jest on stosunkowo dużym zwierzęciem. Moja genetyczna córeczka schudła o 16 kg i chce zejść do zera. Osiągnie to, bo zamiast jeść, myśli. Myśli o tym, że chudnie. Chodzi ważyć się do jubilera na wadze wskazującej, ile brylant ma karatów po oszlifowaniu.

Świętego Jacka z La Marche

W ostatnim „Wprost" (nr 48), w rozmowie z red. Anną Gielewską Kaczyński powiada, że słuchając Ewy Kopacz, słyszy Urbana. I potem, że Kopacz jest Urbanem w spódnicy. Gdybym mógł się obrażać na tego Goebbelsika z PiS-u zanurzonego w pogniecione portki, czułbym się bardzo obrażony. Ale nie przez tę spódnicę, gdyż spodnie noszę tylko dla niepoznaki. ❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Prospołeczny bezpiecznik

Z rządu Donalda Tuska odeszła ostatnio Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Tym samym ten oderwany od rzeczywistości i pozbawiony zrozumienia dla problemów zwykłych ludzi gabinet stracił swój jedyny prospołeczny bezpiecznik. (...) To ona stanęła po stronie ludzi, którzy w swoich mieszkaniach muszą użerać się z problemami generowanymi przez najem krótkoterminowy. Poza tym miała odwagę krytykować Tuska, który z każdym dniem ma coraz bardziej w dupie postulaty, z którymi szedł do wyborów w 2023 r. Nie ulega wątpliwości, że popełniła też sporo błędów podczas pełnienia funkcji ministerialnej. Ja jednak z przerażeniem patrzę na to, że obecnie rząd składa się tylko i wyłącznie z potakiwaczy, którzy nie będą mieli odwagi powiedzieć kierownikowi, że obecny kurs prowadzi „stronę demokratyczną" do sromotnej porażki w 2027. Tę porażkę PO zrzuci oczywiście na Zandberga i głupotę wyborców, a my jako obywatele będziemy się babrać w konfederackim bagnie.

Jakub G., Bielsko-Biała

Dyskryminują „NIE"

Chciałbym zwrócić uwagę na sprawę kolportażu. 36 lat temu (...) tygodnik kupowałem w kiosku Ruchu za rogiem. Dziś jego zakup to istna wyprawa jak po złote runo. Otóż jadę do najbliższej galerii handlowej, bo tylko tam jest gdzieś w sprzedaży, i w dyskoncie wygrzebuję go spod sterty innych tygodników i gazet. (...) Jest jeszcze Kolporter, ale tu zderzyć się muszę (...) z nienawistnym spojrzenie sprzedawcy. Kiedyś zapytałem kierownika innego sklepu, dlaczego nie ma w sprzedaży waszego tygodnika, choć są inne. Usłyszałem, że nie jest zamawiamy, bo klienci chowają egzemplarze za towary na półkach, aby uniemożliwić zakup innym. W konsekwencji na niesprzedanych numerach są straty. Czy to prawda, nie wiem. (...)

(...) Moją przygodę z prasą zaczynałem od „Świerszczyka" i nie wyobrażam sobie życia bez emocji dostania kolejnego numeru, a potem miętolenia papieru w ręku przez kilka wieczorów. Stąd nie bardzo mnie emocjonuje przekaz multimedialny i czytanie na ekranie komputera. Spróbujcie więc coś zrobić, aby sprzedawcy tak nie dyskryminowali waszego tygodnika.

Jerzy Dryzek



Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

PROMOCJA



eprasa.pl cba5344298

Zabrać chłopcom zabawki



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Mój manifest przeciwko broni palnej

Mam propozycję: czy możemy się umówić, że każdy polityk, który optuje za ułatwieniem dostępu do broni, będzie od tej pory osobiście odpowiedzialny za wszystkie ofiary każdej strzelaniny, która będzie miała miejsce w Polsce? Na czele tego panteonu postawimy prezydenta Nawrockiego, ale w szeregu za nim będą Bogucki, Czarnek, Warchoł, Bosak, Mentzen, Braun, Sachajko. A żeby nie było, że sami faceci, także Zajączkowska-Hernik, Klaudia Domagała, Anna Maria Siarkowska, Karina Bosak. Ci państwo zasługują na rytualne przeczołganie już teraz, po sobotniej tragedii z Krakowa, ale żeby nie było, że zmieniamy zasady w trakcie gry – poczekamy do następnej strzelaniny. Która niewątpliwie się wydarzy.

Nieameryka

Radykalizacja, która wpycha ludzi w odmęty szaleństwa – czasem szczęśliwie ograniczającego się do znienawidzenia rodziny, sąsiadów, kolegów z pracy, a czasem wysyłającego człowieka z karabinem na krakowski Rynek – będzie postępować. Bo tak ustawione są algorytmy social mediów, które zarabiają na utwierdzaniu nas w naszych uniesieniach i izolowaniu od innych poglądów. Ten problem jest oczywiście możliwy do usunięcia – należy zakazać stosowania tego typu algorytmów – ale bądźmy poważni. Nikt nie pójdzie na otwartą wojnę z big techami. Wojna z bronią jest łatwiejsza. I naprawdę konieczna.

Na pytanie, ile szkolnych strzelanin było w tym roku w USA, trudno nawet znaleźć odpowiedź, bo temat jest tak rozległy, iż powstały konkurencyjne metody śledzenia go. Wiadomo, że w placówkach edukacji K-12 (od 5 do 18 lat) w 27 strzelaninach 17 osób zginęło, a 29 zostało rannych. Generalnie zaś incydentów z bronią na terenie szkół było 146.

W Polsce od początku XXI w. liczba zdarzeń z użyciem broni palnej w szkołach wynosi 3. Słownie: trzy. W 2001 r. w Kluczborku uczeń zastrzelił dziewczynę, która go rzuciła, nauczyciela, który próbował ją obronić, i siebie. Dwa pozostałe były praktycznie niegroźne; raz z użyciem antycznej broni czarnoprochowej, raz wiatrówki, trzy osoby zostały lekko ranne.

Różnica między USA i RP nie wynika z naszej wyższej kultury rozstrzygania sporów, katolickiej miłości bliźniego czy lepszego wychowania dzieci. Wynika z braku broni.

Polska Ludowa, jak wszystkie kraje bloku wschodniego, bardzo pilnowała, żeby obywatele nie byli prywatnie uzbrojeni. Dostęp do broni – myśliwskiej, sportowej czy osobistej – był starannie reglamentowany, a ścieżka uzyskania zezwolenia najeżona przeszkodami, które praktycznie eliminowały zwykłych obywateli. Dodatkowo w 1981 r., w ramach dekretu o stanie wojennym, wszelka prywatna broń została na długi czas zarekwirowana. I ta tradycja – nietrzymania giwer w domu – przetrwała przez pierwsze ćwierćwiecze tzw. wolnej Polski, co, zaryzykuję twierdzenie, uczyniło z niej jeden z bezpieczniejszych krajów regionu.

Potrzeba upierdliwości

Ale to się kończy. W ostatniej dekadzie ilość broni w prywatnych rękach wzrosła prawie trzykrotnie: w tej chwili 400 tys. Polaków ma jej ponad milion sztuk. To fatalna wiadomość, ale jeszcze nie tragiczna. Jeszcze można poradzić sobie z tym metodami administracyjnymi. Przede wszystkim zagęszczając kontrole medyczne – dziś najczęściej wymagane jest tylko badanie wstępne; wyjątkiem są posiadacze broni do ochrony osobistej, którzy muszą się badać raz na pięć lat. To kpina: badania powinny być coroczne i bardzo szczegółowe. Także kontrole sposobu przechowywania broni powinny być częściej niż „incydentalnie" i następować znienacka – w tej chwili obowiązuje zwyczaj przestrzegania o nich.

A konsekwencje niezachowania wymogów powinny być bardzo bolesne – nie tylko utrata giwery, ale też wysokie grzywny oraz wpis do Krajowego Rejestru Karnego (w tej chwili niewłaściwe przechowywanie broni jest wykroczeniem, które nie trafia do KRK, chyba że delikwent trafi za nie do aresztu).

Dla porządku: te wszystkie rozwiązania nie mają służyć zapewnieniu, że broń będzie w rękach „wyszkolonych i odpowiedzialnych" Polaków, jak postuluje prezydent Nawrocki. To wszystko ma służyć temu, żeby prywatne posiadanie broni było tak upierdliwe, żeby ludziom się po prostu odechciało.

Należy też wykluczyć zbieranie arsenałów. W rodzinnym domu sobotniego zamachowca było 11 różnych sztuk broni: dwie zarejestrowane na niego, dziewięć na ojca. I nikogo to nie zaniepokoiło – a przecież nikt normalny nie trzyma w domu 11 giwer dla obrony własnej. Jeśli ma to być hobby – to warto zapytać, czy naprawdę społeczeństwo chce, aby w rękach ludzi o tego typu hobby był tak szeroki i śmiercionośny arsenał?

Odpowiedź brzmi: nie. Badanie sprzed paru lat wskazało, że zaledwie 23 proc. Polaków jest za szerszym niż dotychczas dostępem do broni. 35 proc. chciało zaostrzenia przepisów, kolejne 35 mówiło, żeby było, jak jest (choć osobiście podejrzewam, że większość z nich kupiła kłamliwą propagandę, że uzyskanie pozwolenia na broń jest w Polsce bardzo trudne).

Żonobijcy, samobójcy, świry

Parę lat temu badacze z Uniwersytetu Stanforda opublikowali w „Annals of Internal Medicine" wyniki badania obejmującego 600 tys. Kalifornijczyków, których status względem broni zmienił się w latach 2004–2016, gdyż albo zamieszkali z kimś, kto miał broń w domu, albo ktoś z ich domu broń kupił. „Znaleźliśmy zero dowodów na jakiekolwiek działanie ochronne" – mówi główny autor badania David Studdert. Za to ryzyko śmierci w wyniku postrzału po pojawieniu się broni w domu wzrastało dwukrotnie; a szczególnie zastrzelenia przez współmałżonka lub partnera. 84 proc. ofiar takich zbrodni stanowiły kobiety. „Wspólne mieszkanie z osobą posiadającą broń zwiększało ryzyko śmierci od postrzału w wyniku przemocy domowej, a jednocześnie nie zapewniało żadnej ochrony przed zabójstwem w domu przez nieznajomego" – podsumowali badacze.

Dodatkowo – zgodnie z międzynarodowym studium przeprowadzonym przez uczonych z Instytutu Psychiatrii Uniwersytetu w São Paulo i opublikowanym w „Harvard Review of Psychiatry" – posiadanie broni w domu trzy do pięciu razy zwiększa ryzyko samobójstwa w przypadku kryzysu życiowego lub mentalnego. Bo – powiedzmy sobie szczerze – cała ta

opowieść o tym, że mężczyzna musi mieć broń, żeby obronić rodzinę, to prawacki mit legendujący. Tak naprawdę chodzi o lewarowanie poczucia własnej wartości nadgryzionego odejściem patriarchalnego świata, gdzie „mężczyźni byli mężczyznami", a kobiety zależały od nich w każdej sprawie

i spoglądały na nich z lękiem, ale też uwielbieniem. W sumie – motywacja jest dość żałosna.

Ale jest w tym coś jeszcze gorszego. To opowieść, która łączy posiadanie broni w domu z sytuacją międzynarodową. Całe to pieprzenie o tym, że „wobec wojny za naszą wschodnią granicą" potrzebna jest „umiejętność odstraszania tych, którzy chcą zabrać wolność, suwerenność i niepodległość" – jak przemawiał prezydent RP na otwarciu gminnej strzelnicy w Bogutach-Piankach w powiecie ostrowskim. To było we wrześniu – ale pod tragicznych wydarzeniach z 7 listopada Karol Nawrocki w iście amerykańskim stylu nie tylko nie wycofał się z pomysłu poluzowania dostępu do broni palnej, ale wręcz przeciwnie: powrócił do niego z nowym żarem.

To dobry czas, żeby sobie szczerze powiedzieć: żaden pistolet, żaden karabin, żadna strzelba trzymana w domu nie posłuży do obrony ojczyzny przed Ruskimi, którzy zresztą tu nie przyjdą. Każda może posłużyć do zabicia bliskich lub nieznajomych – w świecie toksycznych algorytmów, postępującej atomizacji, braku psychiatrów i psychologów w upadającym systemie publicznej służby zdrowia.

Zabierzmy chłopcom zabawki, bo będzie źle.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Frajerska niepodległość

Marzy mi się prawdziwa Unia

W związku z niedawno obchodzonym świętem niepodległości zastanawiam się, czy niepodległość Polski jest dla mnie wartością. Otóż nie jest.

Po pierwsze dlatego, że niepodległa Polska zawsze była krajem dla niektórych, nie dla wszystkich. I Rzeczpospolita była państwem opartym na niewolniczej pracy ludu, w którym wolność stanowiła przywilej szlachty, utrzymywany dzięki wyzyskowi chłopów. II Rzeczpospolita była z kolei krajem, w którym robotnicy lądowali w więzieniu za walkę o swoje prawa, a lewicowych polityków „bohater" Piłsudski zamknął w obozie koncentracyjnym. Dmowski, twórca polskiego nacjonalizmu (i faszyzmu), zbudował swoją wizję narodu na antysemityzmie, który stał się odwrotną stroną patriotyzmu. Być Polakiem oznaczało nienawidzić Żyda, ponieważ właśnie poprzez wskazanie Żyda jako obcego, wrogiego i niebezpiecznego nacjonalizm wyznaczał granice narodowej wspólnoty. Pisałem o tym w „Brunatnej fali".

Po drugie dlatego, że współczesna Polska definiuje swoją suwerenność poprzez zdolność do wyznaczania „życia niewartego życia" oraz „życia niewartego przeżycia". Szczególnym laboratorium tak rozumianej suwerenności jest granica polsko-białoruska, gdzie niepodległa Polska na własnym terytorium torturuje ludzi, odmawiając im człowieczeństwa. Polski patriotyzm to dziś szczucie na osoby migranckie, a zajmuje się tym chór od Nawrockiego przez Brauna, Kaczyńskiego, Bosaka, Mentzena po Tuska. Normalizowanie nienawiści wobec osób migranckich i uchodźczych wywołuje odzew patriotów, którzy wyzywają i biją „wrogów Polski" – tej przemocy będzie coraz więcej.

Po trzecie i najważniejsze: w świecie globalnego kapitalizmu oligarchicznego prawdziwa suwerenność oznacza zdolność państwa do przeciwstawienia się rządom wielkich korporacji, big techów i ponadnarodowych instytucji finansowych. Oznacza możliwość demokratycznego zarządzania własną gospodarką, a więc decydowania o tym, co produkujemy, jak dzielimy wytworzone bogactwo, komu służą technologie i czy podstawowym celem działalności gospodarczej ma być zaspokajanie ludzkich potrzeb, czy pomnażanie prywatnych fortun.

Tymczasem żyjemy w świecie, w którym garstka oligarchów dysponuje potęgą ekonomiczną większą niż całe państwa, wielkie korporacje technologiczne kontrolują infrastrukturę komunikacyjną, a instytucje finansowe potrafią wymuszać na demokratycznie wybranych rządach określone decyzje gospodarcze. Państwa mogą organizować wybory, zmieniać premierów i prezydentów, uchwalać kolejne ustawy, ale kiedy przychodzi do zakwestionowania interesów wielkiego kapitału, okazuje się, że ich suwerenność kończy się tam, gdzie zaczynają się oczekiwania inwestorów, agencji ratingowych i rynków finansowych. Obywatele mogą wybierać swoich przedstawicieli, pod warunkiem że ci nie zamierzają zbyt poważnie ingerować w stosunki własności i mechanizmy akumulacji kapitału.

Polska jest krajem zbyt małym, zbyt zacofanym technicznie i zajmującym zbyt peryferyjną pozycję w globalnym kapitalizmie, aby mogła samodzielnie osiągnąć tak rozumianą suwerenność. Możemy oczywiście nadal opowiadać sobie patriotyczne bajki o narodowej potędze, niezależności i wstawaniu z kolan, ale nie zmieni to naszego miejsca w światowym podziale pracy. Nie stworzymy samodzielnie technologicznej przeciwwagi dla amerykańskich i chińskich gigantów, nie podporządkujemy globalnych korporacji demokratycznej kontroli, nie zmusimy międzynarodowego kapitału do przestrzegania zasad sprawiedliwości społecznej. Do tego potrzebna jest znacznie większa wspólnota polityczna.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dlatego uważam, że Polska powinna stać się częścią większego demokratycznego państwa, którym byłaby sfederalizowana Unia Europejska. Nie chodzi mi o dzisiejszą Unię, której instytucje wciąż pozostają głęboko uwikłane w neoliberalną logikę gospodarczą, lecz o demokratyczne państwo europejskie, zdolne do prowadzenia wspólnej polityki gospodarczej, przemysłowej, technologicznej i społecznej. Tylko organizm tej wielkości może skutecznie przeciwstawić się globalnej oligarchii, zmusić wielkie korporacje i big techy do podporządkowania się demokratycznie ustanowionym regułom albo stworzyć własne publiczne rozwiązania technologiczne. Tylko w takiej skali możemy odzyskać rzeczywistą kontrolę nad gospodarką i podporządkować ją społecznym potrzebom.

Biorąc zaś pod uwagę samobójcze skłonności polskiej klasy politycznej, jej neokolonialną służalczość wobec amerykańskiego imperium oraz niezachwianą wierność neoliberalnemu kapitalizmowi i jego podstawowej zasadzie – zabrać biednym, dać bogatym – uważam, że kompetencje władz lokalnych w przyszłym europejskim państwie związkowym powinny zostać bardzo zdecydowanie ograniczone.

Nie widzę powodu, dla którego polscy politycy mieliby zachować możliwość blokowania demokratycznych rozwiązań służących całej europejskiej wspólnocie tylko dlatego, że potrafią wymachiwać biało-czerwoną flagą i wykrzykiwać słowo „suwerenność".

Marzy mi się zatem demokratyczna, federalna Europa, która będzie nie tylko wspólnym rynkiem, lecz przede wszystkim wspólnotą polityczną zdolną do realizowania zasad sprawiedliwości społecznej, solidarności i równości. Europa, w której prawa człowieka nie będą zależały od narodowości, a prawa socjalne od dobrej woli inwestorów. Europa, która przestanie być gospodarczym zakładnikiem oligarchii i odzyska zdolność do demokratycznego decydowania o własnej przyszłości.

Uważam, że najlepszym premierem takiego europejskiego rządu byłby Jean-Luc Mélenchon. Natomiast prezydentką absolutnie powinna zostać Polka: Anna Grodzka. W końcu skoro mamy zrezygnować z polskiej niepodległości, to przynajmniej niech Polka zostanie głową europejskiego państwa.

Czyli jednak jest we mnie jakaś resztka patriotyzmu.

JACEK KOCHANOWSKI

eprasa.pl cba5344298

CHWD HFPC

Czy trzeba wieszać psy na Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka?

Walka o zwłoki Trybunału Konstytucyjnego kolejny raz rozgrzała emocje w kraju nad Wisłą. Kierowanie pracami TK jako sędzia z najdłuższym stażem objęła Anna Korwin-Piotrowska, która wydała zarządzenie o przerwie w wykonywaniu czynności przez prezesa TK Bogdana Święczkowskiego i wiceprezesa Bartłomieja Sochańskiego. Na tę okoliczność prezydent Nawrocki zawrócił z podróży do Senegalu, żeby celem odegrania medialnego spektaklu przy pomocy łokci dostać się do budynku wrażliwej politycznie instytucji i gówno zdziałać. Od wielu dni przy Alei Szucha w Warszawie trwa też będący skrzyżowaniem koncertu disco polo i jarmarku protest prawicowych populistów. Napędzana wściekliznę prawej strony impreza na cześć farbowanego „zamachu stanu" wzbudza słuszne politowanie i podśmiechujki. Sąd konstytucyjny – co by nie mówić – wznowił prace, ale nie tylko główni budowniczy powstałego wokół niego burdelu mają wątpliwości co do mechanizmów zastosowanych przez premiera i rząd.

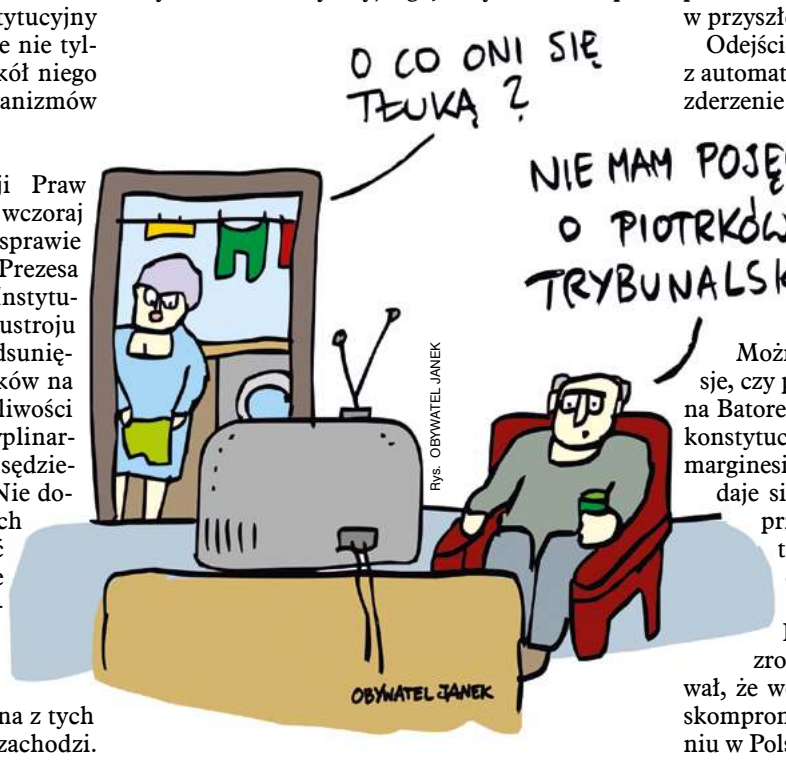
„W ocenie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka podstawy prawne wydanego wczoraj (30 października 2026 r.) zarządzenia w sprawie przerwy w czynnościach służbowych Prezesa i Wiceprezesa Trybunału są wątpliwe. Instytucję tę reguluje art. 130 ustawy Prawo o ustroju sądów powszechnych. Zezwala on na odsunięcie sędziego od wykonywania obowiązków na podstawie decyzji Ministra Sprawiedliwości lub prezesa sądu do czasu, aż sąd dyscyplinarny rozstrzygnie w kwestii zawieszenia sędziego, ale nie dłużej niż na okres 30 dni. Nie dostrzegamy wyraźnych podstaw prawnych do tego, by decyzję taką mogła wydać sędzia o najdłuższym stażu. Zgodnie z przepisami sędzia taki zastępuje Prezesa TK jedynie wówczas, gdy na tym stanowisku powstał wakat lub gdy Prezes TK nie jest w stanie upoważnić innego sędziego do zastępowania go. Żadna z tych sytuacji w omawianym przypadku nie zachodzi. Pozostaje więc powoływanie się na stan wyższej konieczności konstytucyjnej, co jest w praktyce równoznaczne przyznaniu, że brak niebudzącej wątpliwości podstawy prawnej" – oceniła organizacja. Zaapelowała o porozumienie ponad podziałami i poparła ideę tzw. resetu konstytucyjnego zaproponowaną przez Fundację im. Stefana Batorego. Rozpętało się piekło.

Po krytycznym stanowisku HFPC wobec zmian w TK z rady fundacji odeszła większość jej członków: Henryka Bochniarz, prof. Andrzej Rzepliński, prof. Mirosław Wyrzykowski, prof. Wojciech Sadurski, Ewa Woydyłło-Osiatyńska i Hanna Machińska.

„My uważamy, że podstawa prawna była jasno określona. (…) Przede wszystkim nie pogłębiono pewnej analizy i konkretnych przyczyn tego dramatycznego kryzysu Trybunału" – oceniła Machińska w swoim oświadczeniu. Jej zdaniem Fundacja nie wykorzystała „potencjału prawniczego, intelektualnego" członków Rady.

Rów Mariański narodowego rozłamu wokół TK objął kolejną instytucję. Kłopot w tym, że dla organizacji watchdogowych jak HFPC walka o przywrócenie praworządności nie może się odbywać za pomocą metod, które budzą jakiekolwiek wątpliwości prawne. Wbrew pozorom nie sprawia to jednak, że Helsińska Fundacja Praw Człowieka robi ukłon w stronę prawicy czy równoważy śliskie zagrywki polityków wrogich obozów.

„Wydarzenia te nie mogą być oceniane w oderwaniu od przyczyn obecnego kryzysu. Wielokrotnie podkreślaliśmy, że legalnie wybrani sędziowie Trybunału powinni moc rozpocząć wykonywanie swoich obowiązków, a Prezydent nie ma prawa zablokować czy unieważnić wyboru dokonanego przez Sejm. Zwracaliśmy również uwagę na nieprawidłowości w funkcjonowaniu Trybunału Konstytucyjnego, w tym na manipulacje w wyznaczaniu składów orzekających. W tej ostatniej sprawie toczy się obecnie postępowanie karne zainicjowane po zawiadomieniu złożonym przez Fundację" – napisano w stanowisku HFPC. Oznacza to, że fundacja nie zapomniała o źródłach kryzysu z 2015 r. i nie broni ślepo status quo. Takie jest bowiem jej zadanie.



Rys. OBYWATEL JANEK

Jako watchdog Helsińska Fundacja Praw Człowieka działa jak niezależny system wczesnego ostrzegania przed błędami każdej aktualnie rządzącej ekipy politycznej, bez względu na jej barwy partyjne. Mówiąc zwięźle, HFPC dąży do ochrony procedur prawnych, a nie interesów konkretnej koalicji rządzącej. O tym, że głos HFPC zasługuje na poważne traktowanie, napisała w swoim oświadczeniu Sieć Obywatelska Watchdog Polska.

„Z jednej strony trudno zaakceptować sytuację, w której osoby prawidłowo wybrane przez Sejm na sędziów Trybunału nie mogą wykonywać swoich obowiązków. Trudno zgodzić się na wieloletnie blokowanie organu konstytucyjnego, od którego zależy ochrona praw i wolności. Z drugiej strony sposób przełamywania tego impasu również musi podlegać ocenie prawnej. Słuszny cel nie sprawia, że każde działanie prowadzące do niego jest prawidłowe. (…) Być może potrzebujemy rozwiązań natychmiastowych. Być może nie można dłużej czekać na idealne warunki do przywrócenia Trybunałowi zdolności działania. Nawet jeśli doraźne działania okażą się konieczne, nie wolno przedstawiać ich jako zakończenia kryzysu. Nie są one równoznaczne z odbudową niezależnego sądu konstytucyjnego" – wskazała organizacja i zaznaczyła, że na ten moment nie dostrzega rozwiązania, które „pozwalałoby bez wątpliwości powiedzieć, że właśnie przywracamy w Polsce niezależny sąd konstytucyjny". W tym właśnie kłopot.

Stałość kryteriów jest ważniejsza niż to, komu w danym momencie te kryteria sprzyjają. I na ten aspekt zwróciła uwagę HFPC: „Można sobie choćby wyobrazić sytuację, w której kolejny Sejm wybiera w skład Trybunału osobę z długim stażem sędziowskim, a ta następnie zawiesza władze Trybunału i przejmuje nad nim kontrolę".

Zarząd fundacji zwyczajnie stanął na stanowisku, że instytucje demokratyczne nie powinny stosować kreatywnej wykładni przepisów, bo może to rodzić smarkate konsekwencje dla bezpieczeństwa mechanizmów demokratycznych w przyszłości.

Odejście członków rady fundacji nie oznacza z automatu, że któraś ze stron ma złe intencje. To zderzenie dwóch wizji. Członkowie rady uznali, że w stanie wyższej konieczności należy działać radykalnie i szybko. Zarząd HFPC jako instytucji watchdogowej pozostał ortodoksyjnie wierny literze prawa, pomimo że ta wierność wywołuje społeczny sprzeciw i chęć kamienowania zarządu.

Można i należy prowadzić krytyczne dyskusje, czy proponowana przez Fundację im. Stefana Batorego i wspierana przez HFPC idea resetu konstytucyjnego jest słuszna, czy nie. Choć na marginesie mówiąc, rozstrzyganie tego sporu wydaje się rozrywką zapalonych hobbystów, bo przecież rząd wybrał swoją drogę. Zresztą nie pierwszy raz. Helsińska Fundacja Praw Człowieka zgruzowała m.in. zawieszenie prawa do azylu na terenie RP, a politycy nic sobie z tej opinii nie zrobili. Nikt się też specjalnie nie przejmował, że wejście w życie ustawy i rozporządzenia skompromitowały rządową narrację o przywracaniu w Polsce praworządności.

Wytykanie błędów proceduralnych obecnemu obozowi rządzącemu – mimo wieloletniego punktowania nadużyć poprzedniej władzy – pokazuje, że HFPC jest organizacją apolityczną, bez względu na to, jak ciężkiego kalibru obrzydzenie moralne budzi osoba urzędującego do niedawna prezesa TK.

Organizacje zajmujące się prawami człowieka nie są arbitrami politycznymi. Oceniają sytuację wyłącznie przez pryzmat przepisów prawa, niezależnie od tego, czy ich opinie podobają się ministrom, czy nie.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

MÓŻDŻEK TYGODNIA



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bogdan Święczkowski szlochał jak bóbr. Kiedyś tłuste bobrzysko, teraz, po kuracji ozempikowej, ledwie pół bobrzyska. Płakał jak dziecko. Krokodylimi łzami.

– Dlaczego? – łkał.

– Co ja ci mogę powiedzieć? – pytaniem na pytanie próbował odpowiedzieć Bartłomiej Sochański. – Jak cię pocieszyć? Może tak, że obaj jedziemy na tym samym wózku…

Święczkowski zawył z bólu, bo przypomniał sobie nowy luksusowy wózek, jaki zamówił do swojego użytku służbowego, ale nie zdążył nim pojeździć, bo ta… ta… ta Korwin anulowała zamówienie. A nawet gdyby nie anulowała, to wózek i tak nie byłby dla niego.

– Może prezydent jeszcze się za nami ujmie? – zakwiliło pół bobrzyska, ale cały Sochański sceptycznie pokręcił głową.

– Nas już nie ma – powiedział głosem, z którego przebijał rozsądek. – Jedyne, co możemy zrobić, to ograniczyć straty. W naszym wypadku oznacza to jak największe pomnożenie zysków. Bierzmy tyle kasy, ile zdołamy.

– Nie chcę pieniędzy! – zawołał Święczkowski głosem dziecka, którego mama odciągała od sklepu z zabawkami. – Chcę być prezesem Trybunału Konstytucyjnego. Bo przecież jestem prezesem Trybunału Konstytucyjnego!

– Możesz być prezesem Trybunału Konstytucyjnego na wygnaniu – ponuro westchnął Sochański. – Masz już bilet do Stanów?

– Nie chcę do Stanów! Nie chcę na wygnaniu. Chcę tu, teraz i tak jak niedawno.

– To se nevrátí, pane Havránek. – Sochański pokazał zęby w gorzkim uśmiechu. Tekst miał zabrzmieć jak z Hrabala, ale zabrzmiał jak z bajki o trzech świnkach.

Wilk niechybnie nas zje – pomyślał Sochański, a głośno powiedział: – Jeżeli chcemy ocalić głowy, musimy spierdalać w podskokach.

I nagle w Święczkowskim zaszła zmiana: łzy obeschły, spazmy ustały, oczy jeszcze trochę błyszczały, ale już bez żałości. Pół bobrzyska wybuchło niepohamowanym śmiechem.

– Zwariowałeś? – zapytał Sochański i przez moment pomyślał, że może Święczkowski rzeczywiście stracił rozum. – Dlaczego się śmiejesz?

– Bo… wyobraziłem sobie siebie, jak robię podskoki.

Sochański również się zaśmiał: oczami wyobraźni zobaczył, jak obaj podskakują.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Katolik i jego trzy małpki

Rozjedź bezdomnego psa, przytul do serca pogranicznika

Wielki admirator Viktora Orbána, a jednocześnie fan Ukrainy pod rządami Władimira Zełenskiego, prawacki publicysta Igor Janke pofatygował się na polsko-białoruską granicę z nagrodą. Nagroda Obywatel Wolności 2026 przyznawana przez Instytut Wolności, któremu Janke przewodzi, trafiła – nie zgadniecie – do podlaskich pograniczników.

„W Polsce często narzekamy na nasze państwo. Mówimy, że jest słabe, niesprawne, że jest państwem z kartonu" – zaczął w laudacji od tezy, która od zawsze jest prawdziwa. Po czym skręcił gwałtownie w inną stronę i nawet powieka mu nie zadrżała: „Tymczasem na granicy polsko-białoruskiej zobaczyliśmy państwo ze stali. Spotkaliśmy znakomicie przygotowanych, profesjonalnych funkcjonariuszy, ludzi z głębokim poczuciem misji i odpowiedzialności za bezpieczeństwo Polski. To oni są prawdziwą siłą naszego państwa".

Co tam procesy wytaczane wolontariuszom za pomoc udzielaną migrantom, również tym chrześcijańskim z Syrii, oraz niesławne push-backi. Janke o tym nie słyszał, nie wiedział i mówić o tym nie będzie.

Gra w trzy małpki, bo to się opresyjnemu państwu w tym kontekście – czy to za rządów Kaczyńskiego, czy Tuska – zawsze będzie podobać.

Żeby było śmieszniej, ten były dziennikarz tygodnika „Wprost" udał się ze swoją śmieszną statuetką na pogranicze dwa tygodnie po tym, jak Sąd Okręgowy w Białymstoku przyklepał w apelacji pół roku w zawieszeniu dla sadysty w zielonym mundurze, którzy podczas patrolu


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

na pasie granicznym z Białorusią celowo przejechał bezdomnego psa.

„Z ustaleń śledztwa wynikało, że w sierpniu 2024 r. ówczesny funkcjonariusz z placówki SG w Nowym Dworze (po okresie zawieszenia, gdy postawiono mu zarzuty, został zwolniony ze służby), prowadząc służbowy samochód i wykonując służbowe zadania, na drodze wzdłuż granicy z Białorusią przejechał psa, który tam biegał. Zwierzę zginęło na miejscu" – czytamy na stronie internetowej Radia Białystok. „Funkcjonariusz jechał tzw. drogą techniczną, miał sprawdzić stan stalowej zapory. Po przejechaniu psa nie zatrzymał się, dopiero po pewnym czasie, gdy zgłosił zdarzenie dyżurnemu, wrócił w to miejsce i zabrał martwe zwierzę. Po obejrzeniu przekazanych przez SG nagrań monitoringu i zebraniu innych dowodów śledczy ocenili, że mężczyzna umyślnie przejechał psa. W zarzucie była mowa o znęcaniu się, czego skutkiem była śmierć zwierzęcia".

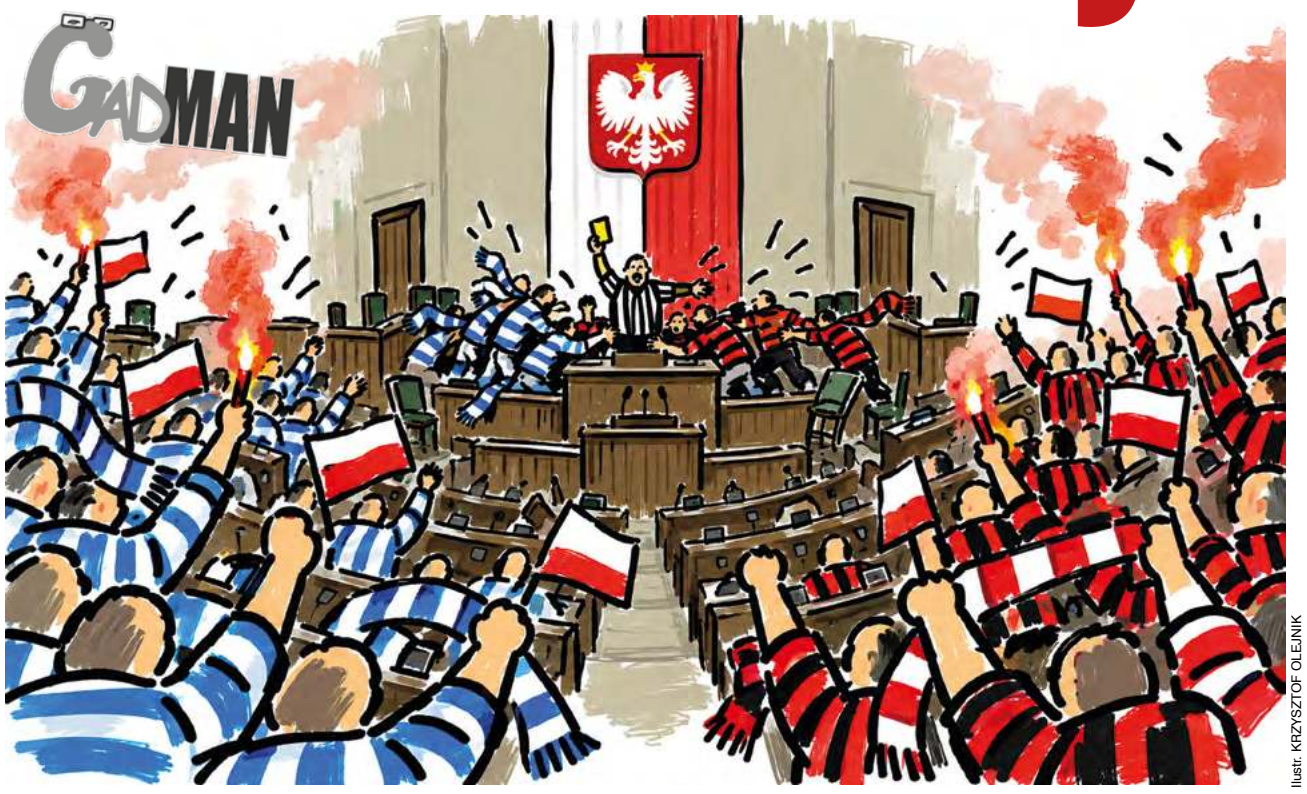
Igorowi Janke wciąż nie drży powieka, a Franciszek, katolicki święty od zwierząt, tych naszych braci mniejszych, przewraca się w grobie.

JMP

eprasa.pl cba5344298

Krzyczą: „Precz z komuną” i wciskają komunistyczne zegarki

Kibole i sejmole



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak na stadionie piłki kopanej mogła poczuć się Roberta Metsola? Kiedy przemawiała w Sali Plenarnej polskiego sejmu jako przewodnicząca Parlamentu Europejskiego. Bo powitała ją na poselskich trybunach iście kibolska oprawa. Trzymane przez prawicowych narodowo-katolickich parlamentarzystów transparenty. Łamaną angielszczyzną informujące ją, iż premier Tusk dyktatorem jest. Oraz okrzyki naśladujące styl stadionowych ultrasów, szydzące z brukselskiego „eurokołchozu” i goszczącej w polskim parlamencie Metsoli.

Było to pewnie dla niej śmieszne, bo przewodnicząca Metsola pochodzi z angielskojęzycznej Malty. Od dziecka wyczulona jest na toporny angielski zaserwowany jej przez polskich parlamentarzystów. I straszne, bo choć Metsola przewodniczy Parlamentowi Europejskiemu, to trudno określić ją jako europejską „lewaczkę”. Jest zdeklarowaną przeciwniczką prawa kobiet do aborcji. Ma tylko jednego męża i tylko z nim aż czwórkę dzieci.

Można rzec, że Metsola nadaje się na wzorcową matkę Polkę. Reprezentantkę tradycyjnego modelu rodziny postulowanego przez polską prawicę. W przeciwieństwie do buczących na nią polskich prawicowo-katolickich parlamentarzystów, którzy nawołują w mediach do tworzenia rodzin wielodzietnych, wierności małżeńskiej, ale sami w praktyce są notorycznymi rozwodnikami. Dalekimi od wielodzietności. Postulują cnoty, a sami wiodą grzeszne żywoty.

Zakłamanie i hipokryzja to dwa filary polskiej narodowo-katolickiej prawicy.

Hulsy i ultrasi

Polska polityka przejmuje zachowania z subkultury stadionów piłkarskich. Ale nie ze stadionów inteligentnej siatkówki, żywiołowej koszykówki czy bojowej piłki ręcznej. Naśladuje kulturę piłki kopanej. I to w najgorszej jej wersji.

Jeżeli popatrzymy na salę plenarną sejmu, na sektory z zasiadającymi tam parlamentarzystami PiS-u, wszystkich Konfederacji i Rozwoju Plus, to bez trudu zauważymy tam podziały przeniesione z polskich stadionów piłki kopanej. Mamy już parlamentarzystów ultrasów. Na piłkarskich stadionach zajmują się oni tworzeniem „wieloformatowych opraw”. Czyli wielkich malowanych na płótnie lub plastikowych planszach transparentów sławiących macierzysty klub lub plugawiących klub goszczący. To oni wydają i inicjują kibolskie okrzyki. Czasem odnoszące się do bieżącej polityki. Jak „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”. Lub sławiące prezydenta Nawrockiego.

Ultrasi odpowiadają na stadionach za pirotechnikę, czyli odpalają race. Tych jeszcze na sali plenarnej sejmu nie było. Ale polska polityczna kultura kibolska jest rozwojowa, jak mawiają prokuratorzy. Mieliśmy już odpalone gaśnice przez eurodeputowanego Brauna. Odpalania rac nie można wykluczyć.

Najsłynniejsi ultrasi to gniazdowi. Jak legendarny „Staruch” z żylety warszawskiej Legii. Oni są dyrygentami stadionowego dopingu. Nadają mu ton. Taką utalentowaną gniazdową objawiła się w sejmie pani posłanka Dominika Chorosińska z PiS-u. Ona wymownie szczekała podczas plenarnych obrad, nawołując tym całą prawicową opozycję do zbiorowego ujadania. Poseł Chorosińska ma aktorskie doświadczenia, które teraz wykorzystuje w służbie polskiej prawicy. Jej śladem idzie pan poseł Janusz Kowalski, aktualnie partyjny singiel, ale z sercem i portfelem po prawej stronie. On też aspiruje do roli gniazdowego. Brak doświadczeń aktorskich nadrabia wrodzonym talentem do kurewstwa wszelkiego.

Niezwykle ważni są w kibolskiej kulturze hulsi. Polski huls to echo brytyjskiego stadionowego chuligana. W społeczności kibolskiej są odpowiedzialni za ochronę ultrasów i reszty kibiców macierzystego klubu przed napadami hulsów z przeciwnego klubu. Czasem prowokują bójki stadionowe. Organizują też ustawki, czyli bijatyki pomiędzy reprezentacjami najbardziej krewkich hulsów już poza terenem stadionu.

Świat polskich kiboli to też sieć sojuszy między fanami poszczególnych piłkarskich klubów. Zwanych w środowisku zgodami. Znana jest tam wieloletnia zgoda między Lechią Gdańsk i Śląskiem Wrocław. Podobnie jak Legii Warszawa i Zagłębia Sosnowiec. Do legend przeszła zgoda pomiędzy Lechem Poznań, Arką Gdynia i Cracovią. Zgoda zobowiązuje fanów zgodzonych klubów do kibicowania także klubom zaprzyjaźnionym. A hulsów – do wspierania zgodzonych ekip w czasie ustawek, czyli kibolskiego modrobicia.

Na drugim biegunie zgód są kosy – stany nienawiści i konfliktu między kibicami dwóch klubów. Przenoszone czasem na kluby z nimi zgodzone. Znane są kosy między kibicami Wisły Kraków i Cracovii. Legii Warszawa i Polonii Warszawa. Ruchu Chorzów i Górnika Zabrze. Lecha Poznań i Warty Poznań. Kiedy kibice mają kosę, nie ma o czym gadać. Trzeba szybko w mordę lać. Podobnie zachowują się teraz polscy parlamentarzyści.

Jeszcze niedawno była zgoda między klubem parlamentarnym KO i klubem Polska 2050. Po rozłamie w Polsce 2050 jest kosa między KO a byłą minister Pełczyńską-Nałęcz. Była zgoda między Tuskiem i Hołownią. Zamieniła się w kosę. Teraz ponoć zgoda wraca. Była wieloletnia kosa między PiS-em i PSL-em. Po powstaniu Rozwoju Plus rysuje się zgoda Rozwój Plus – PSL. Była zgoda Nowa Lewica – Partia Razem. Teraz jest już kosa między nimi.

Kiedy jest zgoda między klubami parlamentarnymi, to podtrzymują ją ich liderzy. Kiedy zaczyna się kosa, do akcji wkraczają parlamentarne hulsy. Najbardziej widoczni z polskich parlamentarnych hulsów są pan poseł Dariusz Matecki z PiS-u i eurodeputowany Grzegorz Braun, lider Korony Polskiej.

Oczywiście na sali plenarnej w sejmie, jak na każdym piłkarskim stadionie, ultrasi i hulsy nie stanowią większości zasiadających tam kibiców. Większość to pikniki – na stadionie to ci, którzy przychodzą na mecze, aby pokibicować swojej drużynie oraz stworzyć kibicowską wspólnotę. Młodsi i starsi wiekiem. Takim zasłużonym, spokojnym już piknikiem jest prezes Jarosław Kaczyński. I starsza generacja polskich parlamentarzystów.

Kulturę kibicowską dopełniają w polskiej polityce casualsi. Politycy wzorowani na brytyjskich stadionowych chuliganach, którzy zaczęli nosić drogie markowe ubrania, a nie klubowe szaty. Aby tak zmylić policję, by sprawnie wchodzić na sektory opanowane przez kibiców wrogich klubów, a potem do odwiedzanych przez nich pubów. I tam niespodziewanie wszczynać mordobicia. Takim politycznym casualsem jest w polskiej polityce Dominik Tarczyński, eurodeputowany PiS-u. I poseł Zbigniew Kuźmiuk, też z PiS-u.

Kuźmiuk musi się wykazać w nowym klubie jak każdy przerzut (lub przeszczep), czyli kibic, który zdradził swoje pierwotne barwy i kibicuje nowemu klubowi. Przerzuty są szczególnie znienawidzone przez dawnych kolegów, muszą mieć oczy z tyłu głowy, by na mieście nie wpaść w łapy swoich dawnych kolegów, hulsów. Jak poseł Paweł Zalewski z KO, który przeszedł z PiS-u. Przerzutem może też zostać Paulina Matysiak, ale na razie oficjalnie nie zmieniła barw.

Talarki i zegarki

Aby pełnić swą stadionową honorową służbę, polscy kibole muszą mieć jakieś źródła zarobkowania. Pracę, która nie koliduje ze stadionowymi obowiązkami. Oficjalnie mogą zarabiać, uczestnicząc w procesie sprzedaży klubowych koszulek i innych gadżetów. Albo w dystrybucji napojów i przekąsek podczas rozgrywanych meczów. Zwykle ultrasi, a zwłaszcza hulsy, wykorzystują swe talenty i kompetencje jako ochroniarze, pomocnicy egzekutorów długów, sutenerów i dostawcy używek. Legalnych snusów i nielegalnych narkotyków, wszelkich dopalaczy. Lekko nie mają.

Polskim politykom przechodzącym teraz na kulturę kibolską jest znacznie łatwiej. Parlamentarzyści mają czteroletnie stypendia wypłacane z budżetu państwa, zwane uposażeniami poselskimi. Do tego nieopodatkowane diety i inne bonusy. Pomimo tego nie stronią od dodatkowych zarobków. Parlamentarzyści związani z Telewizją Republika wspierają sprzedaż prawicowych klubowych gadżetów. Zegarków chińskiej produkcji. W sejmie krzyczą: „Precz z komuną”, a w TV Republika wciskają polskim emerytom zegarki robione w komunistycznych fabrykach. Mnożą tym zyski komunistów. Nie stronią też od finansowych przekrętów. Jak tylko mogą, doją państwowy budżet pod hasłem obrony polski. Udój zwykle trafia do zaprzyjaźnionych kieszeni.

Kibole polskiej piłki kopanej stworzyli żywą wspólnotę i kulturę. Pomimo że polskie drużyny klubowe i reprezentacja narodowa grają już jak martwe. Ostatnio jest tak źle, że lepiej byłoby na stadionach, gdyby polscy zawodnicy tam nie grali.

Polscy politycy przejęli kulturę kibolską i poczucie wspólnoty kiboli. Ale bez konieczności oglądania w sejmie innych niż oni rozgrywających politykę zawodników. Twórczo połączyli aktywne polityczne kibicowanie z politycznym rozgrywaniem. Strzelane przez siebie gole ze swą wyrażaną po tym radością. Celowe swe faule ze swymi wybuchami stosownego gniewu. Czekają nas ich kolejne pułapki ofsajdowe, bójki, pewnie race i mięsiste ustawki. Dla nich, zajętych jednoczesnym rozgrywaniem sobie i kibicowaniem sobie, my, polscy wyborcy, przestajemy na co dzień być im potrzebni.

PIOTR GADZINOWSKI

Przyśpieszenie po latach

Żurek dla Andruszkiewicza

Czy Adam Andruszkiewicz, były kilkukadencyjny poseł prawicy, w zamierzchłej przeszłości szef Młodzieży Wszechpolskiej, a teraz zastępca wiceszefa kancelarii prezydenta RP, stanie przed sądem?



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powinien i tak się pewnie w końcu wydarzy, kiedy uprawomocnią się ostatnio zasądzone wyroki dla dwóch jego podwładnych w tej nacjonalistycznej partyjce. Przy czym panowie sami przyznali się chętnie do podrabiania podpisów pod listami Ruchu Narodowego w wyborach do Sejmiku Województwa Podlaskiego w 2014 r., do czego – według śledczych – Andruszkiewicz miał ich skutecznie namawiać. Co ciekawe, byli wszechpolacy poszli na ugodę z prokuraturą i w porozumieniu z sądem jeden z nich dostał rok w zawiasach i grzywnę, a drugi tylko grzywnę.

Młyny sprawiedliwości – i to będzie najlepszy dowód na tym konkretnym przykładzie – nie mieliły sprawy Andruszkiewicza et consortes tak długo z powodu powszechnie przyjętej w narodzie tezy, że w sądownictwie mamy permanentny zator, a więc góry niezaczętych, a nawet rozpoznanych spraw. Ale z powodu świadomej obstrukcji, za którą stali pisowscy politycy z górnej półki.

Na dowód zacytujmy fragment depeszy z PAP, w której pokazano skróconą chronologię, jak prokuratury za czasów Zbigniewa Ziobry przerzucały się wiele lat sprawą tego prostego jak cep polityka rodem z Grajewa jak przysłowiowym gorącym kartoflem, bo ten chłop bardzo skutecznie od lat ciułał i ciuła głosy dla Kaczyńskiego, a potem dla Nawrockiego. I to w większości tych młodych wyborców. „Śledztwo sięga listopada 2014 r., kiedy po zawiadomieniu Wojewódzkiej Komisji Wyborczej w Białymstoku wszczęła je Prokuratura Rejonowa Białystok-Południe. Od 2016 r. sprawą zajmowała się Prokuratura Okręgowa w Białymstoku. W lutym 2019 r. śledztwo zostało przekazane do Prokuratury Regionalnej w Lublinie, która wyznaczyła Prokuraturę Okręgową w Lublinie do prowadzenia sprawy. W październiku 2024 r. śledztwo zostało przejęte ponownie przez Prokuraturę Regionalną w Lublinie (...)” – pisze PAP.

Andruszkiewicz oczywiście od lat pierdoli, że jego sprawa ma charakter polityczny, a on jest czysty jak łza. Wolno mu, a może nawet sam po latach w to szczerze wierzy.

Nie widać po nim przy tym strachu, gdyż główny lokator pałacu prezydenckiego na pewno zrobi mu dobrze w momencie skazania, a więc zastosuje prawo łaski. Podobnie jak w przypadku Grzegorza Ksepki, adwokata i przedstawiciela Karola Nawrockiego w KRS. Ten pan został zatrzymany na początku listopada przez CBA na wniosek Prokuratury Regionalnej w Białymstoku. Chodzi o śledztwo dotyczące niegospodarności przy budowie Elektrowni Ostrołęka C za rządów PiS.

Przypomnijmy, że to my w „NIE” pisaliśmy jakiś czas temu o odsunięciu od tego śledztwa trzech prokuratorów, którzy nie chcieli w tej sprawie stawiać nikomu zarzutów, bo – według naszych wiewiórek – sprawa ma być dęta od początku do końca. Jak widać jednak Waldemar Żurek, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednym, znalazł skuteczne personalne rozwiązania w tej sprawie.

JMP

eprasa.pl cba5344298

Zabawa w berka – konstytucja nie dała rady



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Konstytucję można pokonać, nie zmieniając w niej choćby przecinka. Wystarczy, że ci, których ma ograniczać, przestaną się nią przejmować. Politykom spod znaku PO–PiS konstytucja niestraszna – pobili ją sromotnie. Poległa w starciu z żywymi przejawami polskiej kultury politycznej.

Nie obroniły jej wielusettysięczne demonstracje z lat 2015–2018. Obywatele wkurzyli się, bo zauważyli, że pisowskie „reformy" prowadzą wprost do budowy państwa autorytarnego. Nie obroni jej teraz także „odbicie" z rąk uzurpatorów wziętego w jasyr Trybunału Konstytucyjnego.

Nawet jeśli wierzymy w dobre intencje akcji przeprowadzonej w TK, to zasady gry pozostają niezmienne: „teraz gonisz ty". A to oznacza, że zabawa w berka będzie trwać. Tyle że nie jest to niewinna zabawa dzieci na szkolnym podwórku. Tutaj za każdym razem zwycięzca zdobywa prawo do ustalania reguł następnej rundy. A przegrany przysięga, że kiedy odzyska władzę, przywróci praworządność. Oczywiście swoją.

Święta księga polskiej polityki

Konstytucję tworzy się po to, aby prawo miało wymiar strategiczny, zgodny z przyjętymi pryncypiami, a ustanowione przez nie instytucje działały skutecznie. Zabawa w berka odbiera im tę moc – decyduje aktualny polityczny zwycięzca, który wszelkie pryncypia może mieć gdzieś. To zasadnicza różnica między państwem prawa a państwem polityków: w pierwszym władza podlega regułom, w drugim reguły podlegają władzy.

Nasi politycy tym samym udowodnili, że konstytucja jest jak Pismo Święte. Jego słowa mogą być dla jednych podręcznikiem miłości bliźniego, podczas gdy inni odnajdą w nich prawo do świętej wojny. Jedni powołują się na ducha prawa, drudzy na jego literę. Jedni ogłaszają się obrońcami konstytucyjnych wartości, drudzy ich jedynymi prawowitymi interpretatorami. Wszyscy mają rację. Przynajmniej do następnych wyborów.

Oto polityczna rzeczywistość ostatnich lat odsłoniła prawdziwie kołtuńskie oblicze dominującej części polskiej klasy politycznej. Klasy, która opanowała sztukę uroczystego przysięgania na konstytucję i równie uroczystego wycierania sobie nią gęby.

Przed 30 laty twórcy konstytucji szczerze, choć być może naiwnie, wierzyli w jej sprawczość. Dziś mamy do czynienia z kolejną odsłoną walki o władzę na jej gruzach: bój o Trybunał Konstytucyjny i o całą resztę trzeciej władzy.

Konstytucja nie przewidziała sytuacji głębokiego podziału między organami władzy wykonawczej, jakimi są rząd i prezydent, i radośnie przyjęła, że powinni się dogadać. Ale żeby się dogadać, potrzebny jest wspólny cel – wszyscy jesteśmy pewni, że powinno nim być dobro społeczne. Rzeczywistość pokazała jednak, że może być inaczej. Można bowiem uznać, że najważniejszym dobrem społecznym jest odsunięcie przeciwnika od władzy. A jeszcze większym – niedopuszczenie, żeby kiedykolwiek do niej wrócił.

Przed czy wobec? Oto jest pytanie

Pełni dobrej wiary w ludzi twórcy konstytucji uznali, że nie muszą definiować znaczenia słów odnoszących się do składania przyrzeczenia „przed prezydentem" czy „wobec prezydenta". W efekcie spór o formę tego przyrzeczenia paraliżuje państwo. Teraz rozgrywa się wokół TK, ale przecież obowiązek składania ślubowania „wobec prezydenta" ustawowo dotyczy także sędziów sądów powszechnych, a konstytucja w art. 151 stanowi, że przysięgę wobec prezydenta składają prezes Rady Ministrów, wiceprezesi i ministrowie. A co, jeśli także ich prezydent nie zaprosi przed swoje oblicze?

Okazuje się, że o losach państwa może decydować interpretacja przyimka. Czy „wobec" oznacza fizyczną obecność? Czy wystarczy złożyć przyrzeczenie skierowane do urzędującego prezydenta? Czy prezydent, odmawiając udziału w ceremonii, może skutecznie uniemożliwić objęcie stanowiska? Jeśli politycy nie potrafią uzgodnić znaczenia prostych słów, to jak mają uzgodnić znaczenie dobra wspólnego?

Dziś mogę być tylko wdzięczna panu prezydentowi, że w nocnej przepychance zaledwie odepchnął panią sędzię w drzwiach TK, bo przecież mógł ją pobić. Oto do jakiego poziomu sprowadziliśmy powagę państwa: zamiast pytać, czy głowa państwa stoi na straży konstytucji, możemy się cieszyć, że nikomu nie stała się większa krzywda.

W tej sytuacji trudno nie zauważyć, że spór o znaczenie słowa „wobec" rozstrzyga się coraz bardziej dosłownie: kto stoi wobec kogo, kto komu zastępuje drogę i kto kogo odepchnie. W państwie prawa interpretacja konstytucji nie może się dokonywać metodą walki o wejście do budynku.

Dwa stada, jeden kanion

Spór o władzę w wykonaniu politycznego duopolu zdołał przez lata wyżłobić gigantyczny kanion między Polakami. Kanion nie do przejścia. Twórcom konstytucji zabrakło wyobraźni, aby to przewidzieć. Obywatelom zresztą też.

Dziś ani prawica konserwatywno-nacjonalistyczna, ani prawica neoliberalno-konserwatywna stanowiąca duopol nie są w stanie wybudować nad tym kanionem nawet pieszej kładki. O mostach zapomnij.

A przecież politycy duopolu nie różnią się między sobą aż tak bardzo, jak chcieliby nam wmówić: czy to programem dla Polski czy troską o obywatela. Łączy ich wzajemna nienawiść i pożądanie władzy. Stała się ich wspólnym językiem, podstawowym instrumentem mobilizacji elektoratu i gwarancją politycznego przetrwania. Niestety, wzajemną nienawiść udało im się wszczepić bardzo skutecznie w geny i ciało polskiego ludu, narodu, czyli społeczeństwa.

Jeśli spróbujesz zbudować kładkę nad kanionem, nie uda ci się postawić nawet podpory na przeciwnym brzegu. Jeśli będziesz chciał choćby tylko przerzucić linę na drugi brzeg, to twoje własne plemię opluje cię jak razemitów po spotkaniu z lokatorem Belwederu. Bez szans.

Największym sukcesem duopolu nie jest bowiem to, że podzielił Polaków. Jest nim to, że przekonał obie strony, iż próba zakończenia tego podziału stanowi zdradę. Nie trzeba już pilnować granic kanionu. Każde plemię pilnuje ich samo.

Dwa stada motywowane nienawiścią, okłamywane i ogłupiane przez własnych pasterzy. Jedyny bat, jakim możesz dyscyplinować swoich pasterzy, to wyborcza kartka. Ale jeśli nie jesteś posłusznym baranem, to masz problem.

Jasne, że możesz zagłosować. Cichaczem za kurtynką postawisz krzyżyk, gdzie chcesz. Ale wiesz, że nie głosując na swoich, pasiesz obce plemię. Upasiona bestia będzie cię potem strzygła na swój sposób.

Na tym polega doskonałość tego mechanizmu. Możesz nie znosić własnych pasterzy, możesz wiedzieć, że cię oszukują, możesz mieć serdecznie dość ich kłamstw, obietnic i głupoty. Ale przy urnie i tak masz głosować na swoich. Nie dlatego, że im ufasz. Dlatego, że bardziej boisz się tamtych.

Tak strach stał się najtrwalszym fundamentem polskiej demokracji, a nienawiść – najbardziej niezawodną formą partyjnej lojalności. I nawet nie trzeba już przekonywać obywatela, że będzie mu lepiej. Wystarczy przekonać go, że z tamtymi będzie gorzej. To dramat większości z nas.

Reset czy kolejna runda?

Głośno ostatnio o „resecie konstytucyjnym". Jak uwierzyć, że jest możliwy? Czy wystarczy porozumienie pasterzy ponad głowami stad? Potrzebujemy demokracji, w której obywatel nie musi być baranem. Bo jeśli jedynym naszym prawem pozostanie wybór tego, kto będzie nas strzygł, to żaden reset konstytucji nie uchroni nas przed rzeźnią.

Przecież nie chodzi wyłącznie o naprawienie kilku przepisów, rozstrzygnięcie sporów kompetencyjnych czy doprecyzowanie znaczenia przyimków. Chodzi o to, czy politycy, tak naprawdę do siebie bardzo podobni, są jeszcze zdolni uznać istnienie czegoś ważniejszego niż własne zwycięstwo. Może wreszcie warto przestać głosować na mniejsze zło – przeciw komuś, a oddać swój głos na kogoś, kto nie działa przeciw komuś, a w jakiejś sprawie – twojej sprawie?

Nie wystarczy napisać lepszej konstytucji. Trzeba jeszcze mieć polityków, którzy nie będą szukać w niej instrukcji obchodzenia własnych ograniczeń. Bo konstytucja nie przegrała z prawem. Przegrała z tymi, którzy przysięgali jej bronić. I którzy wciąż tylko wygrywają wybory. Dopóki politycy bawią się w berka, będą się tylko zamieniać rolami. Raz jedni gonią, raz drudzy. Ale za każdym razem obrywa ta sama konstytucja. A razem z nią my.

ANNA GRODZKA

Ekologia narodowa

Szop pracz pierze Konfederację

Pod koniec września w sejmie odbyła się zorganizowana przez Fundację Ideapolis oraz Zespół ds. Przyrodniczych Ruchu Narodowego konferencja ekspercka poświęcona tematyce inwazyjnych gatunków obcych (IGO). Otworzył ją i objął patronatem wicemarszałek sejmu Krzysztof Bosak. Konserwy od hasła „czyńcie sobie ziemię poddaną", klimatyczni denialiści i ochrona przyrody? Tak, dobrze czytacie. Nie ma tu przypadku.

Biozgroza

W panelu wzięło udział wielu ekspertów, m.in. Izabela Sachajdakiewicz (ekspert ds. IGO), Łukasz Pieńkowski (NIK, twórca raportu o IGO), dr hab. Wojciech Solarz (Instytut Ochrony Przyrody PAN) czy prof. dr hab. Tadeusz Mizera (Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu).

Według Międzynarodowej Platformy ds. Różnorodności Biologicznej i Funkcjonowania Ekosystemów ONZ inwazyjne gatunki obce są globalnym zagrożeniem dla bioróżnorodności. W 60 proc. znanych przypadków były one główną przyczyną globalnego wymierania roślin i zwierząt, a w 16 proc. – jedyną przyczyną.

Eksperci wykazali, że w kraju nad Wisłą stwierdzono już ponad 2 tys. obcych gatunków (w tym 305 gatunków zwierząt, z których 119 uznano za inwazyjne). Mowa o organizmach, które człowiek celowo lub przypadkowo sprowadził w miejsca, gdzie naturalnie nie występują. Ponieważ w nowym środowisku nie mają swoich naturalnych wrogów, zaczynają się błyskawicznie i agresywnie rozmnażać, niszcząc bioróżnorodność i wypierając rodzime gatunki. Wszystko to prawda.

Dla przykładu, taki rdestowiec japoński (którego sprzedaż, a nawet samo posiadanie w Polsce jest surowo zabronione pod groźbą gigantycznej grzywny) rozmnaża się wegetatywnie w sposób ekstremalny. Wystarczy fragment kłącza o wadze poniżej 1 grama, aby wyrosła z niego roślina, której korzenie potrafią wrosnąć 3 m w glebę, a górna część rozrosnąć się na 7 m w boki. Pędy rośliny rosną nawet do 15 cm na dobę, osiągają nawet 4 m wysokości i błyskawicznie tworzą gęste ciemne zarośla, pod którymi umiera każda inna roślina. Jeśli komuś nie żal rodzimej zieleniny, niech wie, że rdestowiec japoński doskonale radzi sobie z rozsadzaniem fundamentów domów, instalacji wodno-kanalizacyjnych czy asfaltu.

Niektóre gatunki bywają groźne i dla ludzi, jak chociażby znany i lubiany barszcz Sosnowskiego. Niebezpieczny dla ludzi i zwierząt jest też szop pracz – jeden z bohaterów konferencji Bosaka.

Germański najeźdźca

Kojarzone z kreskówek urocze zwierzątko naturalnie występuje w Ameryce Północnej. Do Europy zostało sprowadzone jako zwierzę futerkowe – głównie do Niemiec. Futrzak miał się na tyle dobrze u naszych zachodnich sąsiadów, że się zaaklimatyzował i rozpoczął regularną kolonizację Europy. Choć szop przypomina wyglądem maskotkę, stał się w Polsce jednym z najniebezpieczniejszych gatunków inwazyjnych.

Szopy pracze są wyjątkowo inteligentne i uzdolnione manualnie. Nie wybrzydzają przy jedzeniu. Zjadają niemal wszystko, na co trafią w lasach, dolinach rzek i w pobliżu ludzkich domostw. W myśl powiedzenia „kłak czy wełna, byle dupa była pełna" w zależności od pory roku żeżrą: jaja, pisklęta, ryby, skorupiaki, małże, płazy, gady, a jak trzeba, przezimują na diecie wegetariańskiej. Futerkowi cwaniacy w polowaniu są skuteczniejsi od kotów domowych, które zabijają rocznie 631 mln ssaków i niemal 144 mln ptaków. Bez problemu penetrują miejsca niedostępne dla innych drapieżników, wyjadają pokarm roślinożercom, a nawet stołują się w zimowiskach nietoperzy.

Nie bez powodu rysunkowe wersje szopów to zwykle złodziejaszki. Zwinne łapki otworzą każde słabo zabezpieczone drzwi kurnika czy domostwa, nie wspominając o śmietnikach czy nawet budkach lęgowych dla ptaków. Nie pogardzą zawartością ula ani żółwiem błotnym. Wygłodniała ekipa w ciągu nocy bez problemu poradzi sobie z sadem owocowym czy plantacją kukurydzy. Solidnie odkarmione szopy rodzą liczne mioty i ekspresowo powiększają swoją populację. Nie mają w środowisku naturalnym wrogów. Można powiedzieć, że radzą sobie lepiej na tym łez padole niż ludzie.

Żeby nie było za uroczo, roznoszą też pasożyty. Chociażby *Baylisascaris procyonis* – glistę szopią. Człowiek nie jest typowym żywicielem pośrednim żyjątka, ale jeśli połknie jego jaja, w jelitach rozwiną się larwy. Te mogą przebić ścianę flaków i przewędrować tu i tam w organizmie. Np. do oka. Niekiedy trzeba taką gałkę oczną usunąć… Ponadto klasycznie są rezerwuarem bakterii i wirusa wścieklizny. Jakkolwiek brutalnie i niewiarygodnie to zabrzmi, szop pracz generuje powoli katastrofę ekologiczną.

Skąd nagłe zainteresowanie środowisk konfederacko-narodowych „śmietnikową pandą" i w ogóle fauną i florą?

Aus Deutschland

Szacuje się, że za zachodnią granicą populacja futrzastych migrantów oscyluje w okolicach 1,2 do ponad 2 mln sztuk. W landach Saksonii i Brandenburgii niemieckie służby i myśliwi w każdy dozwolony prawnie sposób eliminują rocznie ok. 55 osobników, ale szopy pracze chętnie korzystają z możliwości strefy Schengen. W Polsce dokładna liczba nie została w pełni zmierzona, ale szacuje się ją na kilkadziesiąt tysięcy osobników. Największe zagęszczenie (na razie) odnotowano w województwie lubuskim i zachodniopomorskim. Dotarły też m.in. do Kampinoskiego Parku

eprasa.pl cba5344298

Normalizowanie nienormalności

Tekst dla tych, którzy sądzą, że żyją w normalnym kraju



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W Polsce istnieje instytucja, która z nadzwyczajną konsekwencją wyjaśnia obywatelom, że dokumentów będących przedmiotem jej działalności nie muszą stosować. Polski Komitet Normalizacyjny na pytanie, czy stosowanie polskich norm jest obowiązkowe, odpowiada jednoznacznie: „nie". Następnie wyjaśnia, że w 2003 r. ustawa o normalizacji zniosła obligatoryjność norm, a ich stosowanie stało się dobrowolne. Na wypadek, gdyby ktoś uznał, że sytuacja zmienia się wtedy, kiedy na polską normę powołuje się minister w rozporządzeniu, komitet przygotował kolejną odpowiedź. Ona również zaczyna się od słowa „nie".

Dobrowolny obowiązek

Wypada więc zapytać, co właściwie państwo uzyskuje za kilkadziesiąt milionów złotych rocznie, utrzymując instytucję organizującą opracowywanie i sprzedawanie – a jakże – niepotrzebnych dokumentów. Odpowiedź, że zawierają one specjalistyczną wiedzę techniczną, jest prawdziwa, ale nie rozstrzyga, dlaczego ich opracowywanie, zatwierdzanie i rozpowszechnianie wymaga akurat państwowej jednostki budżetowej. Z potrzeby istnienia standardów nie wynika przecież konieczność utrzymywania właśnie takiej instytucji, w takim kształcie i za takie pieniądze.

PKN realizuje wszak działalność normalizacyjną, a następnie sprzedaje jej rezultaty. I nie jest przy tym prywatnym wydawnictwem utrzymującym się z pieniędzy klientów, lecz państwową jednostką budżetową, której wydatki pokrywa budżet. Dochody ze sprzedaży norm, publikacji, licencji i usług też trafiają do tego budżetu. Podatnik najpierw współfinansuje więc funkcjonowanie instytucji, a później, jeżeli potrzebuje udostępnianego przez nią dokumentu, płaci ponownie. Na swojej stronie internetowej komitet przekonuje tymczasem: „przerzucanie na ogół podatników kosztów Polskich Norm jest niecelowe i niesprawiedliwe społecznie".

W 2024 r. PKN wydał prawie 44,4 mln zł, rok wcześniej jego wydatki wynosiły 39,42 mln zł. W 2025 r. wydatki wzrosły do 47,8 mln zł. W 2025 r. instytucja wykazała 15,25 mln zł dochodów. Różnica wyniosła ponad 32,5 mln zł. Nie jest to strata przedsiębiorstwa, ponieważ PKN działa według zasad właściwych państwowej jednostce budżetowej, ale dobrze pokazuje skalę finansowania jego działalności.

Podczas posiedzenia sejmowej Komisji Gospodarki i Rozwoju w czerwcu 2025 r. zastępczyni prezesa PKN poinformowała, że średnie zatrudnienie w poprzednim roku wyniosło 224 pełne etaty. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie pracowników, bez kierownictwa i dodatkowego wynagrodzenia rocznego, wynosiło 8495,23 zł. Łączne koszty pracownicze to 29,9 mln zł. W 2025 r. wynagrodzenia wzrosły do 27,29 mln zł, a inne koszty pracownicze – do 5,8 mln zł.

W 2024 r. 133 pracowników pionu normalizacji koordynowało prace 4079 osób reprezentujących 1399 podmiotów zorganizowanych w 300 organach technicznych. Rok później w komitetach i podkomitetach uczestniczyło 4255 reprezentantów 1448 podmiotów. Byli to przedstawiciele przedsiębiorstw, uczelni, organizacji branżowych, instytucji naukowych i administracji, a nie etatowi pracownicy PKN. Znaczna część specjalistycznej wiedzy wykorzystywanej podczas opracowywania norm pochodzi więc spoza komitetu, który przede wszystkim organizuje proces, koordynuje prace, nadzoruje procedury i publikuje dokumenty.

W 2025 r. opublikowano 1341 dokumentów normalizacyjnych, z których 1282 wdrażały normy europejskie, 20 – normy ISO lub IEC, a zaledwie 28 było normami własnymi. Cały zbiór liczył 28 851 dokumentów, w tym 25 643 wdrażające normy europejskie, 1543 wdrażające ISO lub IEC i 1471 – normy własne. Na opracowywanie i wydawanie polskich norm wykazano w odrębnej pozycji budżetowej 712 tys. zł wobec 515 tys. zł rok wcześniej. Nie są to oczywiście wszystkie koszty normalizacji, ponieważ obejmują one również zatrudnienie, informatykę i współpracę międzynarodową. Warto jednak wiedzieć, że w 2024 r. same składki do organizacji normalizacyjnych wyniosły 4,62 mln zł, informatyka kosztowała 4,33 mln zł, a utrzymanie i pozostałe wydatki – 3,76 mln zł. Powstaje pytanie, ile kosztuje rzeczywiste opracowanie normy, a ile utrzymywanie struktury zajmującej się jej organizowaniem i sprzedażą.

Prawo za opłatą

PKN przedstawia normę jako dokument powszechnie dostępny, ale wyjaśnia, że nie oznacza to udostępniania nieodpłatnego. Każdy może więc poznać jej treść, pod warunkiem że zapłaci. Komitet sprzedaje pojedyncze normy, oferuje abonamenty i odpłatny dostęp do zbiorów dokumentów. Przypomina jednocześnie, że polskie normy korzystają z ochrony prawnoautorskiej, a majątkowe prawa autorskie do nich przysługują krajowej jednostce normalizacyjnej. Według stanowiska PKN normy nie stanowią również informacji publicznej podlegającej udostępnieniu na podstawie ustawy o dostępie do informacji publicznej.

Powstaje konstrukcja, w której państwo finansuje działalność instytucji, instytucja posiada prawa do dokumentów, a obywatel musi zapłacić za możliwość ich poznania.

Ten problem dostrzegł rzecznik praw obywatelskich, do którego zwróciło się Polskie Zrzeszenie Inżynierów i Techników Sanitarnych. W czerwcu 2025 r. rzecznik wystąpił do ministrów rozwoju i technologii oraz infrastruktury, wskazując na sprzeczność między dobrowolnym charakterem polskich norm a przywoływaniem ich w rozporządzeniach.

RPO wskazał m.in. przepisy dotyczące osób samodzielnie budujących domy o powierzchni zabudowy do 70 mkw. Jeżeli norma przywołana w rozporządzeniu nie obowiązuje, należy wyjaśnić, po co prawodawca ją przywołuje. Ministerstwo Rozwoju i Technologii odpowiedziało, że odwołanie do polskich norm wskazuje jedną z możliwości prawidłowego zaprojektowania budynku, ale nie wyklucza innych rozwiązań zapewniających wymagany rezultat. Naprawdę!

Wiarygodność na sprzedaż

W 2025 r. PKN uzyskał 11,22 mln zł ze sprzedaży polskich norm, wydawnictw własnych, działalności informacyjnej, certyfikacyjnej i audytów. Kolejne ponad 3 mln zł pochodziły z opłat licencyjnych za usługi normalizacyjne. Nie wiadomo jednak, ile pieniędzy PKN uzyskuje dzięki zainteresowaniu dokumentami, do których odsyła państwo.

Normy mają również wartość wizerunkową. Przedsiębiorstwo informujące, że stosuje określony standard, może w ten sposób przekonywać klientów i kontrahentów o swojej rzetelności. Słowa „norma", „standard", „zgodność" i „certyfikat" kojarzą się z fachowością, kontrolą i bezpieczeństwem. Tymczasem samo stosowanie normy nie oznacza, że państwo sprawdziło wszystkie działania przedsiębiorcy, a certyfikat potwierdza jedynie określony zakres zgodności. Nie stanowi gwarancji uczciwości właściciela ani dowodu, że firma nigdy nie naruszyła prawa.

Dlatego normy i certyfikaty są wykorzystywane przez przedsiębiorstwa, które potrzebują poprawić swój wizerunek. Jeżeli firma ma problemy z rzetelnością lub jakością usług, informacja o stosowaniu uznanego standardu służy odwracaniu uwagi od tych problemów.

PKN uzasadnia swoje istnienie uczestnictwem w systemie normalizacji krajowej, europejskiej i międzynarodowej. Organizuje prace komitetów, reprezentuje Polskę w ISO, IEC, CEN i CENELEC, publikuje dokumenty i przygotowuje polskie wersje norm. Ale instytucja, która wydaje niemal 48 mln zł rocznie, powinna potrafić wykazać nie tylko liczbę opublikowanych dokumentów, lecz również koszty ich przygotowania, rzeczywiste wykorzystanie i korzyści dla obywateli. Powinna także wyjaśnić, dlaczego za dostęp do norm przywoływanych w przepisach trzeba płacić, skoro państwo finansuje jej działalność. Sam fakt, że PKN wykonuje zadania zapisane w ustawie, nie dowodzi, że nie powinna powstać ustawa, która to zlikwiduje.

Bo z jaką normą zgodna jest sytuacja, że państwo finansuje działalność PKN z podatków, a później pobiera opłaty za dostęp do rezultatów. Co więcej, do tych dobrowolnych i płatnych dokumentów odsyła w przepisach, których przestrzeganie jest obowiązkowe. Z jaką normą zgodny jest system, w którym normy nie obowiązują, ale kosztują, instytucja jest państwowa, ale wiedzę sprzedaje, a obywatel w rozporządzeniach dostaje wymagania, których państwo nie chce mu bezpłatnie pokazać?

ADRIAN SIECZKOWSKI

Narodowego pod Warszawą. Trudno je zresztą dokładnie zliczyć, bo prowadzą nocny tryb życia, są ruchliwe i mogą zasiedlać miejsca, w których umykają ludzkiemu oku.

Co z tym fantem zrobić, nie wie nikt, ale pech chciał, że tematem zainteresował się Krzysztof Bosak.

Za zmiany legislacyjne oraz koordynację polityki wobec IGO w Polsce odpowiada Ministerstwo Klimatu i Środowiska, które przygotowuje projekty rządowe we współpracy z Generalną Dyrekcją Ochrony Środowiska (GDOŚ). Kwestię tę reguluje ustawa o gatunkach obcych z 2021 r. oraz unijne i krajowe wykazy IGO, zgodnie z którymi szop pracz ma status gatunku szeroko rozprzestrzenionego, co nakłada (tak, to smutne) prawny obowiązek jego eliminacji.

Z raportu NIK z 2025 r. jasno wynika, że administracja publiczna (wójtowie, burmistrzowie, prezydenci miast) z gatunkami inwazyjnymi sobie nie radzą. Trudno się dziwić.

Ustawa o IGO nakłada na samorządy obowiązek odłowu, uśpienia i utylizacji szopów. Koszt „obsługi" jednego osobnika przez specjalistyczną firmę to często kilka tysięcy złotych. Dla małych gmin to finansowy stryczek.

Zgodnie z unijną zasadą unikania wtórnej reintrodukcji odłowionego szopa pracza, któremu zostanie darowane życie, pod żadnym pozorem nie wolno wypuścić z powrotem do parku czy lasu. Zwierzak może trafić wyłącznie do uprawnionego azylu, który posiada warunki uniemożliwiające ucieczkę i dalsze rozmnażanie. Niestety, w Polsce drastycznie brakuje miejsc w takich azylach, a państwo ze względu na skalę i koszty nie finansuje ich budowy. W efekcie legalny odłów żywego zwierzęcia staje się często procedurą fikcyjną. Zgodnie z prawem, jeśli szop zamieszka na prywatnej posesji, właściciel musi usunąć go na własny koszt, wynajmując specjalistyczną firmę.

Obywatele wybierają inne metody: trutki, szpadle, widły i pułapki zatrzaskowe. Bardzo chrześcijańskie podejście… Kluczowym zapalnikiem do samosądów jest fakt, że szop pracz nie znajduje się w państwowym katalogu zwierząt, za których szkody rolnikom przysługuje odszkodowanie łowieckie.

Unijny Program LIFE oraz Fundusze Europejskie FENiKS sypią kasą na zakupy fotopułapek, pułapek żywołownych czy badania naukowe, ale pieniądze są przeznaczone głównie dla parków narodowych. Są jeszcze oczywiście myśliwi. Wieść gminna niesie, że brak systemowej gratyfikacji działa na dubeltowców demotywująco. Na marginesie mówiąc, szopy nie w ciemię bite, chronią się przed myśliwymi i uciekają do miast. Podsumowując: działania są rozproszone, skupione na redukcji lokalnej i spowalnianiu ekspansji, a ich skala względem rosnącej populacji niewystarczająca.



Ilustr. KROKODYL

Ekologizm i bambinizm

Bosak oczywiście skrytykował Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Wspomniał też, że w obecnym systemie bardzo wiele głosów eksperckich i merytorycznych rekomendacji nigdy nie dociera na poziom parlamentu.

Dowcip polega na tym, że wspomniany raport NIK podsumował lata 2020–2024. Szopa pracza uznano za zagrożenie i wpisano na listę IGO już w 2016 r. Ówczesny prawicowy rząd skupił się jednak wtedy na bezsensownej z naukowego punktu widzenia eksterminacji dzików w ramach walki z ASF. System zignorował problem już dekadę temu.

Ekonacjonalizm Krzysztofa Bosaka i polityków Ruchu Narodowego jest przy okazji przemyślaną strategią polityczno-gospodarczą. W debatach naukowych z ekspertami nie ma nic niewłaściwego, ale umówmy się:

dla narodowców ochrona przyrody to przede wszystkim narzędzie do walki z unijnym Zielonym Ładem i aktualnym rządem. Zapraszając do sejmu naukowców z PAN czy przedstawicieli NIK, Bosak i koledzy robią sobie dobry kamuflaż.

Środowiska łowieckie, rolnicze i branża drzewna czują się zagrożone sukcesywnie wprowadzanymi zmianami. Walka z szopem praczem, barszczem Sosnowskiego i resztą IGO łączy naukę z interesem wszystkich wspomnianych grup. Konfederacja zaś chce pokazać, że przyrodą należy aktywnie zarządzać, a nie tylko biernie grodzić ją rezerwatami pod dyktando Brukseli i lewackich ekooszołomów.

Wicemarszałek Bosak podczas konferencji wyraził stałą gotowość do reprezentowania na forum publicznym głosów ekspertów, którzy występują w dobrze rozumianym interesie publicznym, a nie ideologicznym, zagranicznym lub wąsko definiowanym interesie sektorowym. Akurat rok przed wyborami i chwilę przed pierwszym czytaniem w sejmie obywatelskiego projektu nowelizacji prawa łowieckiego, które ma ograniczyć uprzywilejowania myśliwych. Szopujący zbieg okoliczności.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl cba5344298

Kolorowa rewolucja made in USA

Amerykanki abortują ruch MAGA z polityki

Wybory połówkowe w Stanach Zjednoczonych (*midterms*) przejdą do historii pod znakiem srogiego lania dla ultraprawicowych polityków i ich eksperymentów na żywej tkance społecznej. Demokraci zdobyli zdecydowaną większość w ogólnokrajowej walce o Izbę Reprezentantów USA oraz wyścigu na szczeblu gubernatorskim w poszczególnych stanach. Zwycięstwo to było w dużej mierze zasługą kobiet – pomimo jednej z najbrutalniejszych kampanii w nowoczesnej historii.

Midtermsy pełnią rolę swego rodzaju referendum w sprawie polityki prezydenta. Wskutek tego od stycznia 2027 r. amerykański rząd będzie odpowiadać przed parlamentem, w którym opozycja wygrała dzięki obietnicy powstrzymania szaleńczych zapędów Trumpa.

Pomarańczowa głowa państwa od czasu ponownego objęcia urzędu w Białym Domu zmusiła do odejścia lub zwolniła zaledwie garstkę najwyższych rangą urzędników i pracowników, ale wśród osób, którym pokazano środkowy palec, przeważały kobiety. Ich stanowiska zajęli oczywiście mężczyźni. Głupio wyszło, bo znaczący wkład w przejęcie Izby Reprezentantów przez demokratów miał fakt, że panie z ramienia tej partii były nominowane w 20 z 41 możliwych do przejęcia okręgów kontrolowanych dotychczas przez republikanów, co pozwoliło na masowe odbijanie republikańskich mandatów w całym kraju. Pomogły wyborczynie. Jeszcze w październiku „New York Times" w przeprowadzonych we współpracy z Siena College badaniach wykazał, że 63 proc. obywatelek USA chce spuścić Trumpa po brzytwie.

Donald Trump wielokrotnie twierdził w swoich wystąpieniach, że jako prezydent będzie „chronił kobiety" (np. deklarując, że sprawi, iż będą bezpieczne „niezależnie od tego, czy tego chcą, czy nie"). Co czwarta, która głosowała na niego w 2024 r., miała w pompie takie bezpieczeństwo. Padł nawet niezawodny żelazny elektorat białych i zamężnych Amerykanek.

Republikańskie zaplecze sztabowe dostało amoku i dla zmobilizowania konserw przypuściło rynsztokowy atak na kandydatki opozycji do kongresu i na gubernatorskie stołki. Poszło samo gęste w stylu MAGA. Prywatne numery kandydatek były celowo dystrybuowane w oficjalnych republikańskich ulotkach i filmach reklamowych. W efekcie na kobiety i ich rodziny wylała się fala jobów i gróźb śmierci. Na otwarte spotkania kandydatek demokratów z wyborcami wysyłano opłaconych prowodyrów, którzy fizycznie osaczali polityczki i próbowali je zastraszać. To było preludium.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Dziaderskie podrygi

Shannon Taylor, wieloletnia prokurator hrabstwa Henrico w Wirginii, stanęła przeciwko urzędującemu od blisko dwóch dekad republikaninowi Robowi Wittmanowi. Sztab jej przeciwnika wespół ze wszystkimi odnogami natychmiast uruchomił karuzelę wyssanych z okolic okrężnicy oszczerstw wobec kandydatki.

Najbardziej agresywnym elementem kampanii był oficjalny telewizyjny spot wyborczy, który oskarżał prokurator Taylor o niekompetencję zagrażającą bezpieczeństwu publicznemu. W materiale przedstawiono sprawę pielęgniarki Erin Strotman, która maltretowała noworodki na oddziale intensywnej terapii szpitala w Henrico. Z zaserwowanych przez prawicę rewelacji wynikało, że przez opieszałość biura Taylor oprawczyni kaszojadów mogła wrócić do pracy, wskutek czego ucierpiało czworo kolejnych dzieci. Kłamstwo naprostowały niezależne organizacje fact-checkingowe i ojciec jednego z dzieci będącego ofiarą szurniętej piguły. To administracja szpitala, a nie prokuratura pozwoliła wrócić kobiecie do pracy, zanim doszło do formalnego aresztowania. Ojciec maltretowanego niemowlaka publicznie potępił Wittmana, mówiąc, że trauma jego rodziny nie jest polityczną zabawką, i zażądał usunięcia spotu.

W obronie Taylor stanęło m.in. 13 lokalnych szeryfów, którzy w specjalnym nagraniu zadeklarowali, że za jej kadencji liczba morderstw w hrabstwie spadła o rekordowe 86 proc. Ostatecznie pani prokurator odbiła okręg, który znajdował się w rękach republikanów przez niemal pół wieku, i zasiądzie w ławach kongresu w Waszyngtonie.

W stanie Ohio swój spot wymierzony w demokratkę Amy Acton wyprodukował sztab republikańskiego kandydata na gubernatora Viveka Ramaswamy'ego. „Nazywam się Donna Arthur i jestem matką Amy Acton. Matce nie wypada to powiedzieć, ale Amy ma poważny problem: jest kłamcą. Kłamie o swojej przeszłości, kłamie przez całe swoje życie. Nie pozwólcie, żeby została gubernatorką waszego stanu" – mówiła w filmie rodzicielka Acton. Niestety, korzystając z chwili sławy, nie pochwaliła się, że jej partner molestował małą Amy, która wraz z braciszkiem doświadczyła głodu i bezdomności, zanim trafiła pod skrzydła opieki społecznej.

Sztab Ramaswamy'ego zainwestował w promocję materiału 4 mln zielonych, ale wyborcy mieli go w dupie. Acton została pierwszą kobietą na stanowisku gubernatora Ohio, przełamując trwającą 20 lat dominację republikanów w tym stanie.

Pierwsze w historii

Według danych monitorujących rynek reklamowy republikanie i powiązane z nimi komitety polityczne wydali w skali całego kraju ok. 183 mln dol. na kampanię uderzającą w osoby transpłciowe oraz popierających je demokratów. Absolutnym liderem tych wydatków był Teksas.

To właśnie tam reprezentująca demokratów Gina Hinojosa (stanowa deputowana z Austin) stanęła w szranki z urzędującym republikaninem Gregiem Abbotem. Sztab wyborczy gubernatora nadał Hinojosie przydomek „Gender Bender Gina" i zaczął kolportować frazesy, że „woli transować dzieci niż je chronić i edukować". Nazywał też kandydatkę opozycji „gumową pieczątką dla genderowego szaleństwa socjalistów". Zarzuty bazowały na historii głosowań parlamentarnych Hinojosy w Izbie Reprezentantów Teksasu. Jako progresywna demokratka sprzeciwiła się m.in. zakazowi stosowania terapii hormonalnych i operacji wykonywanych podczas korekty płci u osób nieletnich czy regulacjom zakazującym transpłciowym uczniom sportowej rywalizacji w drużynach zgodnych z ich tożsamością płciową.

Urzędujący od trzech kadencji Abbot i jego wierchuszka przejechali się na własnym gównie. Hinojosa została pierwszą w historii kobietą latynoskiego pochodzenia, która obejmie fotel gubernatora w Teksasie.

Jak by tego było mało, w Nowym Meksyku wybory na gubernatora stanu wygrała wywodząca się z ludu Laguna Pueblo Deb Haaland, która pokonała republikańskiego kandydata Gregga Halla. Będzie to pierwsza przedstawicielka rdzennej ludności amerykańskiej na stanowisku gubernatora stanu. Z kolei senatorką z Minnesoty została Peggy Flanagan pochodząca z ludu White Earth Nation Odżibwejów – będzie pierwszą rdzenną kobietą w Senacie USA.

Wiatr zmian

Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych w Izbie Reprezentan-

Religijna sierota po Trumpie

Międzynarodówka powołana, by bronić fundamentalizmu, broni ateistów.

W lutym 2020 r. Donald Trump doczekał się własnej międzynarodowej organizacji do obrony wszystkiego, co święte. Jego ówczesny sekretarz stanu Mike Pompeo zebrał przedstawicieli zaprzyjaźnionych rządów, wygłosił kilka podniosłych zdań o wolności sumienia i oznajmił światu, że odtąd będzie jej broniło nie tylko amerykańskie mocarstwo, ale cała koalicja państw o podobnych poglądach. A ponieważ poglądy te miały być poglądami Waszyngtonu, wiadomo było, kto będzie grał pierwsze skrzypce, a komu przypadnie zaszczyt przewracania nut.

Rozrost bez nadzoru

Międzynarodowy Sojusz Wolności Religijnej, czyli International Religious Freedom or Belief Alliance (IRFBA), liczył początkowo 27 państw. Dziś, zależnie od daty aktualizacji oficjalnych wykazów, jest ich 37 albo 38. Pomysł Trumpa przeżył więc całą prezydenturę Bidena i dotrwał do drugiej kadencji pomysłodawcy. Zdążył się nawet rozrosnąć. Tyle że choć Trump wrócił do Białego Domu, to jego sojusz nie bardzo. Organizacja nadal ma członków, przewodniczących, ekspertów, konferencje i deklaracje. W listopadzie 2025 r. świętowała w Pradze pięciolecie, a na listopad 2026 r. zaplanowała następne spotkanie ministerialne. Nie znalazłem natomiast oficjalnego potwierdzenia, żeby amerykański prezydent skierował do uczestników jubileuszu list, nagranie albo choćby okolicznościowe pozdrowienia. Nie ma też żadnej wypowiedzi, w której wymieniałby sojusz z nazwy. A u faceta, który potrafi urządzić wydarzenie medialne z pochwalenia własnego podpisu, taka powściągliwość jest zjawiskiem osobliwym.

Oficjalna nazwa organizacji brzmi dziś International Religious Freedom or Belief Alliance, ale używa ona również określenia Article 18 Alliance, czyli Sojusz Artykułu 18. Chodzi o artykuł Powszechnej deklaracji praw człowieka, gwarantujący wolność myśli, sumienia i religii, w tym prawo do zmiany wyznania oraz do niewyznawania żadnej religii. Ten ostatni szczegół jest szczególnie smakowity. Organizacja zrodzona z religijnej ofensywy administracji Trumpa ma bowiem formalnie bronić również ateistów, agnostyków i ludzi, którzy na pytanie o boga odpowiadają, że mają pilniejsze sprawy.

Polska znalazła się wśród założycieli. Na uroczystości inauguracyjne w Waszyngtonie przyjechał minister spraw zagranicznych Jacek Czaputowicz, który spotkał się z Pompeo przed uroczystą kolacją. Zapowiedział również zorganizowanie w Warszawie kolejnej międzynarodowej konferencji poświęconej wolności religijnej, kontynuującej przedsięwzięcia finansowane wcześniej przez amerykański Departament Stanu. Plany pokrzyżowała pandemia. Forum ministerialne odbyło się ostatecznie 17 listopada 2020 r. w formule zdalnej. Uczestniczyło w nim już 31 państw, a jego deklaracja wskazywała, że ponad 80 proc. ludności świata żyje w krajach, w których występują ograniczenia wolności religii lub przekonań.

Dziś do sojuszu należą m.in. Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Polska, Czechy, Australia, Austria, Dania, Norwegia, Holandia, Węgry, Izrael, Ukraina, Albania, Armenia, Brazylia, Kolumbia, Kosowo, Kamerun, Gambia, Togo, Senegal, Sierra Leone i Demokratyczna Republika Konga. Obok pełnoprawnych członków funkcjonuje kategoria przyjaciół, obejmująca Kanadę, Japonię, Koreę Południową, Szwecję i Gujanę, oraz obserwatorów, wśród których wymieniono Tajwan i Suwerenny Zakon Maltański.

Fundamentaliści antyfundamentalistyczni

Sojusz ogranicza się do produkowania jubileuszowych fotografii. W kwietniu 2024 r. opublikował oświadczenie w obronie osób niereligijnych, w tym ateistów, humanistów i ludzi niezwiązanych z żadnym wyznaniem. Potępiono ich prześladowanie, więzienie i dyskryminację, wezwano do uchylania przepisów karzących za ateizm, apostazję i bluźnierstwo oraz do zapewnienia możliwości zawierania małżeństw poza strukturami religijnymi. Pod dokumentem podpisała się również Polska.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

A więc polski rząd, uczestnicząc w organizacji wymyślonej przez Trumpa, poparł międzynarodowe stanowisko przypominające, że niewiara nie jest żadną ułomnością obywatelską.

Sojusz występował również przeciwko przepisom o bluźnierstwie, wskazując na państwa, w których za obrazę religii lub pokrewne czyny można było orzec nawet karę śmierci. Chodziło m.in. o Afganistan, Iran, Pakistan, Arabię Saudyjską, Jemen, Nigerię i Katar. Sygnatariusze podkreślali, że człowiek nie powinien trafiać do więzienia ani na szafot za zmianę wyznania, krytykę religii czy wyrażanie własnych przekonań. Pod tym stanowiskiem także znalazła się Polska.

Najnowszym przykładem działalności IRFBA jest oświadczenie z maja dotyczące planowanych zmian w indyjskiej ustawie regulującej przyjmowanie przez organizacje pozarządowe pieniędzy z zagranicy. Organizacja wymyślona przez administrację, której polityczny przywódca uczynił z podejrzliwości wobec zagranicznych wpływów jeden ze swoich ulubionych tematów, upomina dziś inne państwo, żeby nie utrudniało organizacjom społecznym przyjmowania pieniędzy z zagranicy.

IRFBA zajmuje się również zagrożeniami związanymi ze sztuczną inteligencją. Zwraca uwagę, że algorytmy mogą pomagać w dokumentowaniu prześladowań i analizowaniu informacji, ale również służyć do identyfikowania wyznawców określonych religii, masowej inwigilacji oraz rozpowszechniania propagandy wymierzonej w mniejszości.

Najlepszym dowodem, że organizacja nie umarła razem z pierwszą prezydenturą Trumpa, była konferencja zorganizowana w 2025 r. w Pradze. Czesi przygotowali ją jako wydarzenie wysokiego szczebla, połączone z obchodami pięciolecia sojuszu. Uroczystości odbywały się na Zamku Praskim, pod patronatem prezydenta. Było wszystko, czego można oczekiwać od międzynarodowego jubileuszu. Zamek, przemówienia, muzyka, modlitwa, nagrody, kawa i sesje dostępne wyłącznie na zaproszenia. Brakowało tylko wyraźnego publicznego udziału człowieka, któremu sojusz zawdzięcza powstanie.

Nie oznacza to, że Stany wycofały się z organizacji. Nadal figurują wśród członków, a Departament Stanu pozostaje jej istotnym zapleczem organizacyjnym. Chodzi więc nie o formalne zerwanie, lecz o osobliwą polityczną nieobecność założyciela. Trump chętnie mówi o religii, chrześcijanach i własnych zasługach dla wierzących. Ale jedno to wygłaszać przemówienia przed amerykańską publicznością religijną, a drugie uzgadniać stanowiska z Czechami, Brytyjczykami, Holendrami i nie wiadomo kim, by wypracować dokument, którego autorstwo trzeba podzielić z innymi.

Sikorski wiadomo, ale Nawrocki?

Najciekawsza część tej historii zaczyna się jednak wtedy, kiedy miast o wartości, zapytamy o pieniądze. Bo konferencje międzynarodowe nie organizują się same. Ktoś musi opłacić sale, podróże, zakwaterowanie, tłumaczenia, przygotowanie dokumentów i funkcjonowanie sekretariatu.

Tymczasem na oficjalnej stronie IRFBA nie ma publicznego zestawienia składek członkowskich, rocznych

eprasa.pl cba5344298

tów zasiądzie jednocześnie ponad 100 demokratek, a do partyjnych gubernatorek dołączy cała grupa nowych liderek. I to w miejscach, w których nikt się tego nie spodziewał.

Rekordowy sukces na obu szczeblach władzy to nie przypadek, lecz systemowa zmiana. Niespełna dwa lata rządów zapleśniałych prawicowych populistów pod flagą seksistowsko-rasistowkich „wartości" pokazały, jak łatwo przebić mizoginistyczny pęcherz.

Wspieranie patriarchatu, odbieranie praw reprodukcyjnych, wzmacnianie głosów przedstawicieli szeroko pojętej manosfery, poniżanie kobiet i rosnące koszty życia przejadły się na dobre.

Kandydatki prezentowały się jako osoby, które z racji wykonywanych zawodów (menedżerek, lekarek czy samorządowców) rozumieją, jak decyzje polityczne drenują domowe budżety i wpływają na bezpieczeństwo zdrowotne obywateli. Wyborcy niezidentyfikowani z żadną partią poparli demokratów przewagą ponad 20 punktów procentowych. Udało się też zniwelować ogromną dotychczas przewagę republikanów wśród wyborców bez wyższego wykształcenia – być może dzięki obietnicy zwiększenia nakładów na państwową edukację.

Zwycięstwo polityczek to też sygnał, że problemem nie są wyborcy, którzy nie są skorzy głosować na kobiety. Jest nim partia, która sama w taki frazes wierzy.

IDALIA DUBICKA

budżetów ani wykazu wpłat poszczególnych państw. Nie ma tabeli pokazującej, ile przekazują Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Czechy czy Polska. Nie udało się również potwierdzić, że członkostwo wiąże się z obowiązkiem płacenia określonej składki. Wiadomo natomiast, że amerykańskie Biuro ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej pełniło funkcję sekretariatu sojuszu, zapewniając obsługę spotkań i kontakty między uczestnikami.

Trzeba przy tym odróżnić finansowanie samego sojuszu od amerykańskich wydatków na promowanie wolności religijnej. W dokumentach budżetowych Kongresu dotyczących roku finansowego 2026 pojawiała się kwota co najmniej 50 mln dol. na międzynarodowe programy w tej dziedzinie. Ale to nie dowodzi jeszcze, że wszystkie te pieniądze trafiły do IRFBA.

A ile kosztuje to Polskę? Nie wiadomo. Nie ma dokumentu MSZ potwierdzającego, że w 2025 albo 2026 r. wpłaciliśmy coś na działalność sojuszu. Nie ma również potwierdzenia istnienia obowiązkowej polskiej składki. Nie można natomiast wykluczyć kosztów udziału przedstawicieli dyplomacji w konferencjach i pracach roboczych. Takie wydatki mogą być ujmowane w kosztach podróży służbowych, działalności placówek albo współpracy wielostronnej.

Szczególnie interesująca jest sprawa praskiego jubileuszu. Oficjalny program potwierdza, że odbyły się obrady wysokiego szczebla i zamknięte posiedzenie robocze, ale nie wskazuje jednoznacznie, kto reprezentował podczas nich polski rząd. Wiadomo natomiast, że Polska podpisywała wspólne stanowiska Sojuszu.

Dlatego polski podatnik ma prawo zapytać, czy przypadkiem nie dokłada się do utrzymania tej międzynarodówki. Bo jeśli dokłada, to mógłby wiedzieć, ile kosztuje go udział w wychowywaniu zapomnianego dziecka Donalda Trumpa.

TOMASZ BOROWIECKI

Czego demokraci nie nauczyli się od 2016 r.

Czerwoni niebiescy



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Bluenami – niebieskie tsunami – to nowotwór językowy, którego w USA używa się na opisanie wyników ostatnich wyborów (w USA kolorem republikańskich prawaków jest czerwony; demokraci kojarzeni są z niebieskim). Jednak równocześnie ze świętowaniem klęski prawicy w antytrumpowym komentariacie rozpoczęło się gwałtowne budowanie narracji antylewicowej.

Zgoda: bluenami to głównie zasługa Trumpa. Trudno wyobrazić sobie lepszego przeciwnika dla lewicy niż totalnie oderwany od rzeczywistości, do cna i bezwstydnie skorumpowany miliarder, dodatkowo łączący toksyczny narcyzm z daleko posuniętym otępieniem czołowo-skroniowym. Trump jest tak rozpaczliwie złym prezydentem (choć to trudne do wyobrażenia, wyraźnie gorszym niż w pierwszej kadencji, kiedy nie wywołał np. idiotycznej wojny), że wygranie z jego ludźmi nie było wielką sztuką. Wystarczyło tylko zaprezentować alternatywę.

I to właśnie usiłują zamaskować politycy mainstreamu Partii Demokratycznej i życzliwe im media: że ta alternatywa nie pochodzi od demokratycznej elity, tylko od wyklętych przez tę elitę lewaków, przez amerykańskie media określanych jako „progresywiści", a także (co w Polsce brzmi dziwnie) – „liberałowie". Najprostszym sposobem na wyodrębnienie kandydatów tego nurtu jest przyjrzenie się, kogo poparł Bernie Sanders.

Na czterech kandydatów Berniego do senatu wygrało trzech. Rdzenna Amerykanka Peggy Flanagan, były drwal Troy Jackson i – a w zasadzie przede wszystkim – Abdul El-Sayed: syn imigrantów z Egiptu i pierwszy w senacie USA muzułmanin. A poza tym nowy król social mediów, charyzmatyczny lekarz i specjalista od zdrowia publicznego, który kandydował pod hasłami publicznej opieki zdrowotnej i delegalizacji kupowania polityków przez korporacje i grupy interesów.

Bernie poparł także 16 kandydatów do Kongresu; mandat zdobyło 15. Można by pomyśleć, że to niedużo – zważywszy na (co najmniej) 250 mandatów w Kongresie i 54 w Senacie – ale ważne jest co innego. Otóż

to przekaz lewicowców dał demokratycznej kampanii energię i wizję, co pozwoliło partii odzyskać głosy – mówiąc staroświecko – klasy robotniczej, która w ostatnich wyborach prezydenckich tłumnie poparła Trumpa.

Hasłem, które poniosło tegoroczną demokratyczną kampanię, było *affordability*. Co formalnie można przetłumaczyć jako „przystępność cenowa" – ale to coś więcej. To odpowiedź na pytanie, kogo stać na życie w Ameryce – i jedno z tych słów, które Donald Trump poznał dopiero niedawno (wraz z *groceries* – artykuł spożywcze) – i które uważa za „przekręt demokratów".

Postulaty lewicowych kandydatów: podniesienie płacy minimalnej do 20 dol. za godzinę (obecnie, od 2009 r., wynosi ona 7,25), publiczna opieka zdrowotna, podatek majątkowy dla miliarderów, zakończenie wojny w Iranie i pomocy wojskowej dla Izraela. Do tego dokłada się propozycja likwidacji policji imigracyjnej ICE, która stała się czymś w rodzaju trumpowskich Schutzstaffel: autoryzowaną i finansowaną przez państwo organizacją zamaskowanych i uzbrojonych bandytów polujących na ludzi podejrzewanych o niewłaściwe pochodzenie.

Do kupy te postulaty tworzą profil ideowy, który nie tylko Trump i jego otoczenie, ale także mainstream Partii Demokratycznej uważa za ekstremę – a jego twarzą jest 85-letni niezależny senator z maleńkiego stanu Vermont.

W 2016 r. start Berniego Sandersa w demokratycznych prawyborach był impulsem dla amerykańskiej lewicy – zduszonym wówczas nie przez republikanów czy Trumpa, tylko właśnie przez elity Partii Demokratycznej. O wyborze Hillary Clinton na kandydatkę demokratów zdecydował partyjny establishment. Obok głosów tzw. superdelegatów, czyli partyjnej elity (w 2020 r. PD zmieniła swój regulamin, pozbawiając superdelegatów specjalnego statusu w prawyborach – a zatem niejako uznając błąd systemu) – przewagę zapewniło Clinton tajne porozumienie zawarte między jej sztabem i Krajowym Komitetem Partii Demokratycznej, podpisane jeszcze przed prawyborami. Tragiczna śmieszność tej sytuacji polega na tym, iż wszystkie sondaże wskazywały, że w 2016 r. Sanders wygrałby z Trumpem – spór był tylko o ile. NBC, CBS i CNN dawały Berniemu po kilkanaście procent przewagi, a ukochany przez Trumpa Fox News zalewie cztery, ale żaden sondaż nie pokazywał wyniku odwrotnego.

Co wydaje się dość logiczne: ludzie mieli dość establishmentu działającego w interesie 1 proc. najbogatszych i byli tak spragnieni zmiany, że gotowi byli kupić każdego, kto zawoła „oczyścić bagno". Bernie Sanders, z 50 latami historii protestowania przeciwko niesprawiedliwości, był niewątpliwie bardziej wiarygodny niż miliarder, który zrobił swój znak firmowy z powiedzenia *You're fired* (jesteś wylany – ulubiony tekst Trumpa z jego programu „Apprentice"). Establishment demokratów wolał jednak oddać kraj w ręce Trumpa, niż dopuścić lewaka do władzy.

I ta historia się powtarza. „New York Times" i „The Economist" opublikowały „analizy" wskazujące na to, że tak naprawdę wygrali „umiarkowani demokraci". W CNN już w noc wyborczą zaczął pojawiać się mainstreamowy komentariat z opowieścią o tym, jak to lewicowi kandydaci nie odbili żadnego mandatu republikanom, tylko przejęli okręgi tradycyjnie demokratyczne (nieprawda, odbili sześć) i że najlepiej radzą sobie w okręgach „jaskrawoniebieskich". Sam CNN czekał do ostatniej możliwej chwili z ogłoszeniem zwycięstwa El-Sayeda (w USA nie ma PKW, wyniki wyborów ogłaszają – formalnie „przewidują" – media na podstawie szczątkowych danych z okręgów). Cała machina pracuje na rzecz zepchnięcia lewicy na margines polityki i zachowania status quo, kategorycznie odrzuconego przez wyborców i w 2024, i w 2026 r.

Od tego, czy to się uda, zależą nie tylko losy USA.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Abdul, Ilhan, Rashida

Wybory pokazały, że Palestyna przestaje być w USA tematem tabu

Przez wiele lat w Stanach Zjednoczonych krytyka polityki Izraela wiązała się z ogromną presją polityczną i finansową. Wielu polityków wolało milczeć. Dzisiaj coraz więcej ludzi nie chce tego milczenia.

Znakomicie pokazuje to przykład Abdula El-Sayeda, który w wyborach w stanie Michigan pokonał republikańskiego kandydata Mike'a Rogersa i w styczniu zostanie pierwszym muzułmaninem w historii amerykańskiego Senatu. W kampanii przeciwko niemu wykorzystywano jego pochodzenie, religię i stanowisko wobec Palestyny. Już podczas prawyborów proizraelska organizacja lobbingowa AIPAC przeznaczyła na walkę z nim blisko 30 mln dol. Były ataki, próby dyskredytacji i ogromna presja polityczna. A jednak wyborcy zdecydowali inaczej.

Nie jest to przypadek odosobniony. Ilhan Omar i Rashida Tlaib od lat przełamują barierę milczenia w amerykańskim Kongresie. Teraz dołączy do nich nowy kongresman z New Jersey, Adam Hamawy – lekarz, który jako ochotnik pomagał rannym w Gazie.

Szczególnie istotne jest stanowisko kandydatów, którzy odmawiają przyjmowania pieniędzy od AIPAC. Przez lata organizacja ta miała ogromny wpływ na amerykańską politykę wobec Izraela. Teraz coraz częściej pojawia się pytanie: czy polityk powinien reprezentować wyborców, czy interesy organizacji dysponujących milionami dolarów i wpływami politycznymi?

Oczywiście nie oczekuję, że Stany Zjednoczone z dnia na dzień zmienią swoją politykę wobec Izraela. Wiemy, jak silne są tam interesy polityczne, wojskowe i gospodarcze. Ale nie można ignorować tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich lat. Wojna w Gazie zmieniła sposób myślenia milionów ludzi, szczególnie młodego pokolenia. Obrazy zniszczonych domów, zabijanych dzieci i cierpienia ludności cywilnej sprawiły, że coraz więcej Amerykanów zaczęło zadawać pytania, których wcześniej nie chciano słyszeć.

I tutaj dochodzimy do sprawy znacznie ważniejszej niż wyniki wyborów. Od dziesięcioleci dyskurs syjonistyczny powraca do jednego pytania: czy Izrael ma prawo do istnienia? To pytanie słyszymy niemal przy każdej dyskusji o Palestynie. Ale dlaczego tak rzadko ktoś stawia drugie pytanie: czy Palestyna ma prawo do istnienia?

Dlaczego od Palestyńczyka wymaga się uznania prawa państwa, które powstało na jego ziemi, podczas gdy od Izraela nie wymaga się uznania prawa Palestyńczyków do własnej ojczyzny?

Dlaczego istnienie Izraela jest przedstawiane jako oczywistość, z którą cały świat musi się pogodzić, a istnienie narodu palestyńskiego i jego prawa narodowe nadal są przedmiotem negocjacji i politycznych targów?

Nie domagamy się praw wyjątkowych. Domagamy się tych samych praw, które przysługują każdemu narodowi. Palestyna nie jest kwestią uznania przez kogokolwiek. Nie jest problemem, który pojawił się wraz z ostatnią wojną. Palestyna to ojczyzna, naród, historia i prawo, które się nie przedawnia.

Po ponad pięciu dekadach mojego zaangażowania w sprawę palestyńską wiem jedno: wiele razy próbowano przekonać świat, że Palestyńczycy muszą pogodzić się ze swoim losem. Że ich historia jest mniej ważna, ich cierpienie mniej widoczne, a ich prawa mogą poczekać. Dzisiaj sytuacja zaczyna się zmieniać. Coraz więcej ludzi nie chce już przyjmować takiej narracji.

Nie twierdzę, że walka o prawa Palestyńczyków jest bliska końca. Przeciwnie, wiemy, jak długa i trudna jest to droga. Ale dzisiaj coraz trudniej jest uciszyć głos Palestyny. I być może właśnie to jest jedna z najważniejszych zmian, jakie obserwujemy w amerykańskiej polityce.

OMAR FARIS


Rys. MOHAMMAD SABAANEH

eprasa.pl cba5344298

Mądrość do wąchania

Do im większej wiedzy mamy dostęp, tym bardziej głupiejemy



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Internet miał dać ludzkości dostęp do całej wiedzy świata. Dał, tyle że obok wiedzy położył syrop na kaszel zwiększający płodność, instrukcję wąchania własnych okolic intymnych i zegarek wskazujący, kiedy należy iść do łóżka.

Artykuł na portalu kobiecym nosi internetowo doskonały tytuł: „Syrop na kaszel jako sposób na ciążę? TikTokowy trend pod lupą ekspertów". Tekst na minutę czytania zdołał pomieścić TikToka, płodność, lek, dwie szczęśliwe przyszłe matki, ekspertów, badania naukowe i ostrzeżenie medyczne.

Kaszlnij, a zajdziesz

Wszystko zaczęło się od gwajafenezyny. Jest to substancja wykrztuśna stosowana po to, aby ułatwiać usuwanie wydzieliny z dróg oddechowych. A skoro gwajafenezyna rozrzedza wydzielinę w jednym miejscu kobiety, to może rozrzedzać ją również w drugim. A skoro śluz szyjkowy w okresie owulacji rzeczywiście staje się bardziej przejrzysty i śliski, co ułatwia plemnikom wędrówkę, to może syrop na kaszel pomoże plemnikom jeszcze bardziej. I cyk – z leku wykrztuśnego zrobiliśmy środek wspomagający rozród.

Jedna z internautek przyznała, że gdy była przeziębiona, wypiła syrop, a potem zaszła w ciążę. Druga pani po kilku miesiącach nieskutecznych starań o dziecko miała wraz z partnerem zastosować syrop podczas owulacji i też się udało.

Jeżeli tak ma wyglądać metoda naukowa, to należy pilnie przebadać wpływ schabowego na wygraną w Lotto. Bo w Polsce muszą istnieć ludzie, którzy zjedli kotleta, następnie kupili los i wygrali. Wystarczy ich nagrać pionowo telefonem i zebrać dwa miliony odsłon. Na szczęście portal informuje, że dowodów na skuteczność metody nie ma, a teoria „nie znajduje potwierdzenia w badaniach naukowych". Czyli tekst obala bzdurę, tyle że wcześniej ją sprzedaje.

Tu właśnie jest informacyjna pułapka internetu. Nagłówek musi najpierw zainteresować tym, że syrop na kaszel pomoże mu zrobić dziecko, aby minutę później wyjaśnić mu, że nie wiadomo, żeby pomagał. Odbiorca dostaje więc jednocześnie plotkę i jej sprostowanie. A plotka ma tę przewagę, że jest fascynująca, prosta i ma bohaterki, którym się udało. Sprostowanie to badania, niejednoznaczność wyników oraz słowo „eksperci". W wyścigu atrakcyjności nie ma szans.

Badanie naukowca z Uniwersytetu Jagiellońskiego objęło 2701 dorosłych Polaków w wieku 18–75 lat. Badacz sprawdzał podatność na zdrowotną dezinformację i stwierdził związek większej podatności z silniejszym uzależnieniem od mediów społecznościowych oraz kompulsywnym kontaktowaniem z internetu. Jednak uczciwie zastrzegł, że wyniki wyjaśniają tylko część zjawiska. Czyli nawet nauka nie mówi, że internet robi z człowieka idiotę, ale że daje idioceniu znakomite warunki, bo człowiek wnosi jeszcze sporo od siebie.

Wagina à la sushi

Dwa dni później na tym samym kobiecym portalu pojawiło się dzieło pod tytułem „Czosnek, cebula, owoce morza. Te produkty zmieniają zapach miejsc intymnych". Jedna z internautek wszak oznajmiła, że gdy je dużo warzyw i owoców, jej pochwa „praktycznie nie ma zapachu". Kiedy natomiast często jadła surową cebulę, okolice intymne zaczęły pachnieć nieprzyjemnie. Po dużej porcji krewetek następnego dnia wyczuła owoce morza. Inna kobieta wskazała czosnek. Jeszcze inna łososia. Następna kawę. Kolejna poinformowała świat, że ponieważ ma różnorodną dietę, „co kilka dni pachnie inaczej".

Ludzkość wynalazła pismo około pięciu tysięcy lat temu, Gutenberg dał światu druk, powstały biblioteki, encyklopedie i internet. I całą tę gigantyczną infrastrukturę obiegu informacji wykorzystaliśmy, aby kobieta mogła zakomunikować ludzkości, że z jej waginy po krewetkach pachnie krewetkami.

Informacja nie jest fałszywa. Tak eksperci, jak i większość z nas wie, że dieta rzeczywiście może zmieniać zapach okolic intymnych. Tyle że zapach przypisywany pochwie może pochodzić także z potu, moczu i innych wydzielin. Gdyby media społecznościowe istniały w epoce kamiennej, viralem zostałaby pewnie informacja, że człowiek stojący przy ognisku pachnie dymem.

W artykule pada jednak rzecz znacznie rozsądniejsza. Zdrowa pochwa nie musi pachnieć perfumerią. Jej naturalny zapach może się zmieniać, również w zależności od cyklu. Niepokojąca staje się sytuacja, gdy wyraźnie nieprzyjemny zapach się utrzymuje, szczególnie jeśli towarzyszą mu inne objawy. Portal przypomina więc, że wagina oczyszcza się sama, więc próba usunięcia każdej woni agresywnymi środkami higienicznymi może bardziej zaszkodzić niż pomóc.

To są informacje sensowne. Problem polega na opakowaniu ich w internetową antropologię zapachową, a oprawa wizualna tylko pokazuje, jak dalece sieć musi zilustrować nawet coś, czego ilustrować nie trzeba – bo dla czytelnika pierwszą wizualizacją jest akrobatyka kobiet samodzielnie obwąchujących okolice własnego sromu.

Informacja może być prawdziwa, a jednocześnie tak banalna i podana w tak sensacyjnym opakowaniu, że działa na odbiorcę podobnie jak dezinformacja. Przyzwyczaja go, że każda oczywistość musi mieć eksperta, badanie, szokujący tytuł i osobistą historię internautki.

We wrześniu opublikowano badanie dorosłych użytkowników społeczności dotyczące informacji o lekach. 39,7 proc. respondentów natrafiało na takie treści częściej niż raz dziennie. 80,6 proc. zetknęło się z materiałami o preparatach ziołowych, 65,9 proc. – z poradami pracowników ochrony zdrowia, a 65,7 proc. – z poradami influencerów. Granica między farmaceutą a człowiekiem z ring lightem robi się więc statystycznie nieprzyjemnie cienka. Co jeszcze ciekawsze, 61,7 proc. badanych deklarowało zetknięcie się z fałszywymi informacjami, 52,5 proc. z fałszywymi twierdzeniami o korzyściach zdrowotnych, a 48,5 proc. z reklamą wprowadzającą w błąd.

To badanie dotyczyło Jordanii, więc nie należy jego wyników przeszczepiać na Polskę. Pokazuje jednak mechanizm. W jednym strumieniu płyną lekarz, influencer, reklama, anegdota, prawda i bzdura. Wszystkie mieszczą się na tym samym ekranie.

Kopulacja według zegarka

Dzień wcześniej kobiecy portal rozwiązał jeszcze jeden problem ludzkości. Okazało się, że ludzie źle wybierają godzinę na seks. „Większość osób współżyje między godz. 22.30 a 23.30" – mówi cytowany przez portal psycholog. Według niego jest to nieszczęśliwa pora, ponieważ melatonina jest wówczas wysoka, a estrogen, testosteron i kortyzol mają być niskie. Lepszy ma być poranek, kiedy układ hormonalny wygląda inaczej.

Nauka znowu została zaprzęgnięta do odkrycia czegoś, z czym homo sapiens przez kilkaset tysięcy lat radził sobie bez konsultacji chronobiologicznej. Ludzie uprawiają seks wieczorem, ponieważ rano idą do pracy. Dzieci śpią wieczorem. Telefony przestają dzwonić wieczorem. Zakupy zostały zrobione. Naczynia stoją w zmywarce. Człowiek jest w domu. Partner również. A przede wszystkim oboje leżą już w miejscu, w którym seks odbywa się nieco częściej niż w autobusie do biura. I dokładnie to wychodzi nawet z przytoczonych danych.

Badanie studentów wskazało najczęstsze godziny współżycia pomiędzy 23.00 a 1.00, przy czym wybór zależał od pracy, obowiązków domowych i dostępności partnera. Czyli odkryliśmy naukowo, że ludzie uprawiają seks wtedy, kiedy mogą.

Ekspert dorzuca argument o porannej erekcji. Jeśli mężczyzna się z nią budzi, to – żartuje ekspert – natura daje pewien sygnał. I pewnie daje. Tyle że mężczyźni zauważyli występowanie porannych erekcji na długo przed wynalezieniem podcastów. Ale internet potrafi zrobić newsa nawet z porannego wzwodu.

Jednak w materiale wieczorne współżycie zostaje przedstawione jako nieoptymalne hormonalnie, a potem czytelnik zaczyna się zastanawiać, czy seks o 22.47 jest jeszcze dopuszczalny, czy należałoby już wystąpić do hormonów o dyspensę.

Człowiek między prawdą a bzdurą

Problem z tym wszystkim nie polega na tym, że ktoś przeczyta o zapachu cebuli i straci dwie minuty życia, lecz na tym, że trzy takie teksty stoją obok siebie i każdy ma identyczną powagę. Czytelnik nie dostaje jednak na stronie wielkiego stempla: „To jest bzdura. To jest prawda, ale banalna. To jest hipoteza. A to jest ciekawostka, z której nie wynika zalecenie dla ciebie".

Badanie 1044 dorosłych Polek i Polaków rekrutowanych głównie przez media społecznościowe dotyczyło korzystania ze sztucznej inteligencji w sprawach zdrowotnych. Aż 84,3 proc., czyli 880 osób, deklarowało korzystanie z niej. Spośród 519 osób, które używały jej przed wizytą medyczną, 82,5 proc., czyli 428, odpowiedziało „nie" na pytanie, czy poinformowały o tym lekarza. Wśród odpowiadających „nie", którzy nie deklarowali unikania wizyty z powodu AI, 86,4 proc. wskazywało obawę przed negatywną reakcją lekarza, a 74,9 proc. niechęć do podważania jego autorytetu.

Internet zatem nie tylko wchodzi pomiędzy pacjenta i wiedzę. Zaczyna wchodzić pomiędzy pacjenta i lekarza. Bo internet nie ogłupia nas dlatego, że niczego w nim nie ma, ale tym, że jest w nim wszystko.

ADRIAN SIECZKOWSKI

Ostatni interes życia

Renta za mieszkanie

Staruszek, w reklamie zwany seniorem, może co miesiąc dostawać rentę i nadal mieszkać w swoim mieszkaniu. To nie cud. Jest ważny szczegół: po podpisaniu aktu notarialnego właścicielem lokalu zostaje fundusz. Państwo przewidziało kredyt, dzięki któremu można uzyskać pieniądze z mieszkania bez oddawania własności, ale banki nie wprowadziły go do oferty. Na rynku hasają więc fundusze hipoteczne.


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Taka oferta trafia do ludzi, którzy mogą mieć cenny majątek, a zarazem nie mieć gotówki na leki i rachunki. Jak wynika z badania PolSenior2, 81,5 proc. osób starszych było właścicielami lub współwłaścicielami mieszkania albo domu, w którym mieszkały. Fundusz proponuje zamienić tę własność na bieżące świadczenie. Jaką wartość ma lokal, a ile senior dostaje w zamian? Średnia wartość nieruchomości objętych umowami wynosiła 480,5 tys. zł. W nowych kontraktach renta wynosiła przeciętnie 1176 zł miesięcznie, a jednorazowa wypłata – 32,2 tys. zł.

Przy rencie 1176 zł miesięcznie senior otrzymałby po dziesięciu latach 141 120 zł, a po piętnastu – 211 680 zł. Po doliczeniu średniej wypłaty jednorazowej byłoby to odpowiednio około 173 tys. i 244 tys. zł. Przy niezmiennej racie suma wypłat zrównałaby się ze średnią wartością mieszkania po około 32 latach. Renta może być waloryzowana, ale zwykle nie jest. Senior także teoretycznie może żyć dłużej, ale zwykle nie żyje.

Senior sięga po tę ofertę, kiedy emerytura nie wystarcza na życie, a mieszkanie jest jego największym majątkiem. Przyszłym emerytom może być jeszcze trudniej. Według OECD osoba, która rozpoczynała pracę w wieku 22 lat w 2024 r., zarabiała przez całą karierę przeciętną pensję i pracowała bez przerw, może otrzymywać emeryturę równą 31,8 proc. wcześniejszych zarobków netto, jeśli jest kobietą, i 40,6 proc., jeśli jest mężczyzną. Mieszkanie staje się wtedy ostatnią rezerwą, którą można zamienić na gotówkę. Ale gdzieś trzeba mieszkać.

Ustawa o odwróconym kredycie hipotecznym z 2014 r. przewiduje inną konstrukcję.

Senior zachowałby własność mieszkania, a bank zabezpieczyłby kredyt hipoteką. Po śmierci kredytobiorcy spadkobiercy mieliby 12 miesięcy na spłatę zadłużenia i zachowanie lokalu.

Jeśli nie spłaciliby długu, bank mógłby przejąć nieruchomość, ale odpowiadałaby ona za zadłużenie tylko do swojej wartości. W przypadku funduszu własność przechodzi na niego już przy podpisaniu umowy.

Renta dożywotnia może być oparta na umowie renty albo umowie dożywocia. W tym drugim przypadku senior przekazuje nieruchomość w zamian za dożywotnie utrzymanie. Jeśli akt notarialny nie stanowi inaczej, nabywca powinien zapewnić mu mieszkanie, wyżywienie, ubranie, światło i opał, a także pomoc i pielęgnację w chorobie. Umowa może przewidywać również regularne wypłaty pieniędzy. O tym, czego senior może żądać, decydują konkretne zapisy aktu, nie sama nazwa oferty.

Państwo mogłoby samo uruchomić odwrócony kredyt hipoteczny. Senior zachowywałby własność i dostawał co miesiąc dodatkowe pieniądze. Po jego śmierci spadkobiercy mogliby spłacić dług i zatrzymać lokal. Jeśli by tego nie zrobili, mieszkanie – po rozliczeniu kredytu – trafiałoby do publicznego zasobu, a ewentualna nadwyżka należałaby się spadkobiercom. Majątek pomagałby właścicielowi na starość, a później służył komuś, kto potrzebuje dachu nad głową.

Na tym się jednak nie zarobi.

DD

eprasa.pl cba5344298

SŁOWO CZERWONE

Młodzi nie idą

Kto winien: ty, czy system?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Manifestacje w około 30 niemieckich miastach zostały zorganizowane przez grupę „Gen Z regelt" – „Pokolenie Z przejmuje władzę". Jej członkowie domagają się m.in. wsparcia dla systemów opieki zdrowotnej i edukacji oraz sprawiedliwego podziału obciążeń w społeczeństwie, sprzeciwiają się natomiast obowiązkowej służbie wojskowej.

Pod podobnymi hasłami demonstrowano wcześniej we Francji, Belgii, Grecji i kilkunastu innych krajach Europy Zachodniej, a także w Albanii. Protesty młodego pokolenia są jednak przez media sprowadzane do chuligańskich wybryków, choć widać, że hasła tych demonstracji i ich cele sprowadzają się do żądań większych wydatków na oświatę, służbę zdrowia i pomoc społeczną, a większość uczestników manifestuje pokojowo. Tylko że establishment nie zamierza prowadzić z protestującymi dialogu ani tym bardziej spełniać ich żądań. Rządzący są przywiązani do niesprawiedliwego podziału dochodu narodowego, na którym korzystają bogaci, i nie zamierzają uczynić ani kroku wstecz.

W Polsce trudna sytuacja młodego pokolenia nie jest w centrum debaty publicznej i tak długo nie będzie, aż nasza młodzież nie zacznie się też buntować. Mówi i pisze się więcej o deficycie budżetowym. Mówi się o konieczności cięcia wydatków socjalnych i ogólnie o oszczędnościach. Zamiast zwiększenia wydatków na ważne cele społeczne awansuje się ministra finansów na pozycję wicepremiera, który tych bolesnych cięć ma dokonać. Co oczywiście pogorszy sytuację młodzieży.

Młodzi nie mają szans powtórzyć skromnego sukcesu mojego pokolenia. Nie dorobią się godnych emerytur, mieszkań, samochodów, działek za miastem i corocznych miesięcznych urlopów. Jakie są więc szanse na wielkie młodzieżowe demonstracje w Warszawie, Gdańsku, Krakowie czy Wrocławiu? Znikome, bo w Polsce ludzie nie należą masowo do organizacji społecznych czy związków zawodowych. Decyzje o wyjściu na ulicę nie zapadają w zorganizowanych grupach, tylko indywidualnie. Choć jest szansa na oddolne organizowanie się w internecie. Młodzi ludzie rzadko mogą zaspokoić swe potrzeby mieszkaniowe na wolnym rynku, bo za mało zarabiają albo nie mają właściwych, stabilnych umów o pracę. W Warszawie buduje się mieszkania w ramach tzw. towarzystw budownictwa społecznego. Jednak żeby aplikować w tym systemie o mieszkanie, trzeba zarabiać 12 000 zł na osobę.

Tymczasem nawet w stolicy zaczyna się zwykle pracę od płacy minimalnej. Na mieszkania komunalne z mniejszymi wymaganiami czeka się latami, a zakwalifikowanie do pomocy mieszkaniowej wymaga skrajnie niskiego dochodu. Osoby ubogie mogą ubiegać się o zasiłki socjalne, jeżeli osiągają dochód na osobę w rodzinie nie większy niż 822 zł. To dochód poniżej minimum egzystencji.

W kampanii wyborczej obiecywano studentom akademik za złotówkę. Tymczasem realia są takie, że na miejsce w akademiku trzeba wydać od kilkuset nawet do 1000 zł. To zmusza studentów z ubogich rodzin do łączenia pracy zarobkowej ze studiami. Dla wielu miejsca w akademikach nie wystarcza, co zmusza ich do wynajmowania pokoi lub mieszkań na wolnym rynku, gdzie ceny są zawrotne.

Są i tacy młodzi ludzie, zwłaszcza młode pary z dziećmi, które żeby zamieszkać razem, wyprowadzają się od rodziców i zajmują tzw. pustostany. Władze próbują ich eksmitować bez wyroku eksmisji bądź kryminalizować te zdarzenia. Policja zwykle nie chce takich bezprawnych eksmisji dokonywać. I nie przyjmuje zgłoszeń o „włamaniach", jeżeli na drzwiach mieszkań nie ma śladów włamania. Sądy w przypadku par z dziećmi zasądzają prawo do lokali socjalnych. Większość młodych, którzy zgłaszają się do gmin po pomoc mieszkaniową, słyszy, że mają na wolnym rynku wynająć za to, co zarobią. Sęk w tym, że czynsz w dużym mieście jest zwykle tak wysoki jak cała pensja.

Polskie państwo ma w nosie młode pokolenie i jego potrzeby, które są zaspokojone w stopniu wcale nie większym niż tam, gdzie pokoleniowy bunt już wybuchł. Nie ma natomiast kultury buntu, bo polska młodzież jest skłonna do konformizmu. Wynika to z faktu, że jest w większości konserwatywna i wciąż wierzy, że rynek, a nie państwo jest siłą, która rozwiąże ich problemy. Ale nie rozwiązuje.

Żeby wyjść na ulice i wznieść buntownicze hasła, trzeba nie zgadzać się z systemem, z kapitalizmem, a nasi chłopcy i dziewczęta wciąż wolą winić za niepowodzenia siebie, a nie system.

A gdy ich system odetnie od tlenu, toną sami, bo inni jeszcze utrzymują usta nad wodą, jeszcze oddychają.

Tu warto przywołać gorzką pieśń Jacka Kaczmarskiego:

„Wejdźmy głębiej w wodę kochani
Dosyć tego brodzenia przy brzegu
Ochłodziliśmy już po kolana
Nasze nogi zmęczone po biegu

Wejdźmy w wodę po pas i po szyję
Płyńmy naprzód nad czarną głębinę
Tam odległość brzeg oczom zakryje
I zeschniętą przełkniemy tam ślinę

Potem każdy się z wolna zanurzy
Niech się fale nad głową przetoczą
W uszach brzmieć będzie cisza po burzy
Dno otwartym ukaże się oczom

Tak zawisnąć nad ziemią choć na niej
Bez rybiego popłochu pośpiechu
I zapomnieć zapomnieć kochani
Że musimy zaczerpnąć oddechu".

PIOTR IKONOWICZ

Życie W DOBROBYCIE

● Unijni rachmistrze wyliczyli, że w drugim kwartale dochody polskich gospodarstw domowych wzrosły aż o 5,2 proc. w porównaniu z pierwszym kwartałem. Wynik ten okazał się najlepszy spośród wszystkich państw objętych zestawieniem. Ba, średnia dla całej Unii Europejskiej wyniosła ledwie 1,1 proc. Polskie rodziny bogaciły się niemal pięciokrotnie szybciej niż przeciętna familia unijna. Niestety dla statystycznego dobrobytu, wzrost dochodów nie jest tym samym co ich wysokość. Ktoś, kto zarabiał 4 tys. zł i dostał 10-procentową podwyżkę, ma bowiem nadal mniej niż ten, który zarabiał 15 tys. zł i nie dostał nic. Jeszcze ciekawsze jest to, co Eurostat właściwie policzył. Dochód brutto do dyspozycji gospodarstw domowych to nie jest bowiem kwota, którą pracodawca przelewa człowiekowi na konto. To znacznie bardziej skomplikowany twór, obejmujący pieniądze z pracy, prowadzenia działalności, majątku oraz świadczeń po uwzględnieniu odpowiednich podatków i innych obciążeń. Jeżeli zatem człowiek dostanie podwyżkę, a ceny wzrosną jeszcze bardziej, to statystyka nominalnych dochodów i tak pokaże poprawę. W portfelu może być gorzej, ale w tabelce będzie lepiej. Ale Polacy nie tylko bogacą się najszybciej w Europie, ale na dodatek coraz więcej oszczędzają. W drugim kwartale stopa oszczędności polskich gospodarstw domowych zwiększyła się o 0,6 punktu procentowego. Taki sam wynik osiągnęli Czesi. Oba państwa znalazły się na pierwszym miejscu. W całej Unii stopa oszczędności spadła natomiast o 0,3 punktu procentowego. Wygląda więc na to, że podczas gdy reszta Europy przejada swoje dochody, Polacy odkładają pieniądze na czarną godzinę, ale również kupują. W drugim kwartale wydatki konsumpcyjne polskich gospodarstw domowych wzrosły o 1,6 proc. wobec 1,4 proc. w całej Unii Europejskiej. Można więc ogłosić, że Polacy wydają coraz więcej, oszczędzają szybciej niż przeciętni Europejczycy i na dodatek dochody rosną im niemal pięć razy szybciej. Czego chcieć więcej?

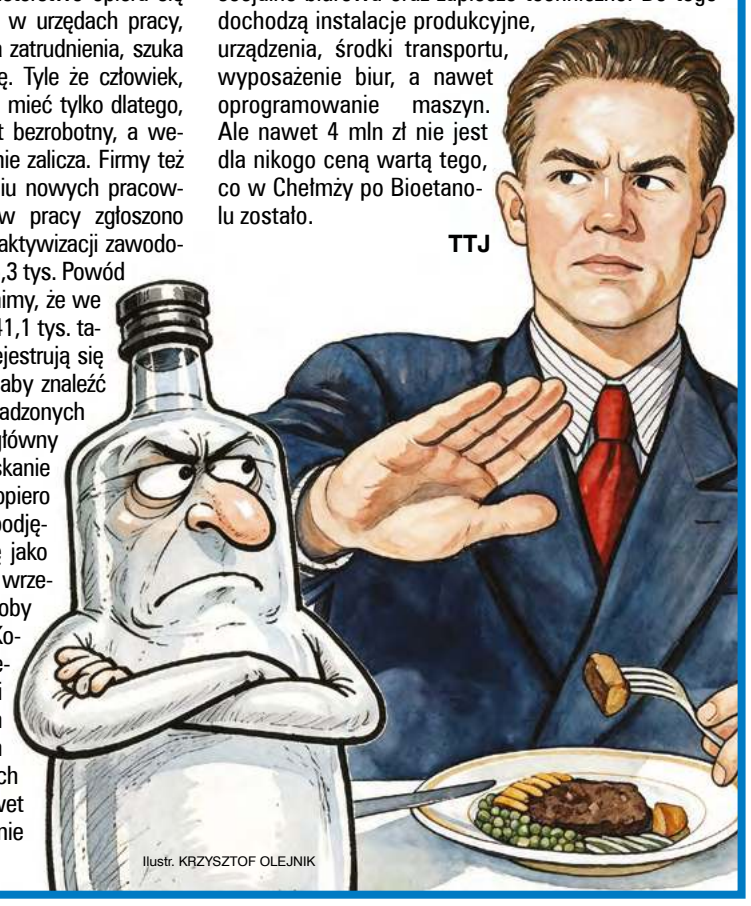
● Są w Polsce przedsiębiorcy, którzy nie czekają na rządowe programy repolonizujące i najwyraźniej nie zrozumieli, iż patriotyczny biznes powinien ograniczać się do ojczyzny. Grupa Kęty, jeden z największych polskich producentów wyrobów aluminiowych, postanowiła bowiem kupić włosko-amerykańską Grupę Metra – przedsiębiorstwo osiągające około 600 mln euro rocznych przychodów. Żeby było weselej, mniej więcej połowa tego biznesu przypada na Amerykę Północną, gdzie do polskiej firmy trafi pięć fabryk w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Zamiast repolonizować polską gospodarkę, prywatny biznes zabrał się za repolonizację gospodarki światowej. O grupie Kęty przeciętny Polak wie mniej niż o kolejnych romansach celebrytów, choć z wyrobami tego przedsiębiorstwa styka się niemal codziennie. Należący do niej Aluprof produkuje aluminiowe rozwiązania dla budownictwa, Alupol Packaging folie i opakowania, a pozostałe zakłady elementy wykorzystywane w motoryzacji, kolejnictwie i przemyśle. W 2015 r. przedsiębiorstwo osiągało około 2 mld zł rocznych przychodów, a dziesięć lat później już 5,5 mld zł. Wszystko to Kęty osiągnęły, zatrudniając około 5,5 tys. osób. Wraz z przejęciem do polskiej grupy trafi pięć fabryk w USA i Kanadzie. A zatem w zakładach, które dotychczas zarabiały dla zagranicznych właścicieli, zyski będą od tej pory powiększać wynik przedsiębiorstwa z Polski. Jeżeli przejęcie Metry zakończy się powodzeniem, polska firma będzie zarabiała nie tylko na polskich pracownikach, ale również na włoskich, amerykańskich i kanadyjskich. I kto wie, czy nie będzie to początek prawdziwej repolonizacji gospodarki. Tyle że nie polskiej, lecz światowej.

● Polska gospodarka ma się zatem znakomicie. Im jednak bardziej dobrobyt kwitnie w rządowych komunikatach, tym więcej firm zamyka zakłady, ogranicza produkcję, zwalnia pracowników albo idzie do sądu z prośbą o ogłoszenie upadłości. Jak Fameg z Radomska. Firma, która przetrwała dwie wojny światowe, PRL, transformację ustrojową i ponad trzy dekady kapitalizmu. Robotę może stracić około 500 osób. Bo historia i rozpoznawalność marki nie wystarczają, żeby opłacić rachunki, wypłacić pensje i oddać pieniądze wierzycielom. Pierwsze poważne sygnały, że z finansami Famegu jest kiepsko, pojawiły się przynajmniej w 2024 r. Już wtedy informowano o wielomilionowych stratach przedsiębiorstwa. Zadłużenie spółki sięgnęło wówczas 14,2 mln zł. Władze Famegu próbowały jednak ratować firmę. Zapowiadano restrukturyzację, czyli takie przemeblowanie przedsiębiorstwa, które miało pozwolić mu dalej działać, ograniczyć wydatki i poradzić sobie z zadłużeniem. W marcu 2025 r. sąd zatwierdził układ restrukturyzacyjny, który miał umożliwić dalsze funkcjonowanie fabryki. Restrukturyzacja nie przyniosła oczekiwanej poprawy, więc Fameg złożył wniosek o ogłoszenie własnej upadłości. Ot, życie w dobrobycie.

● Bezrobocie w Polsce prawie nie rośnie. Tak przynajmniej wynika z oficjalnych danych. Owa stabilizacja wygląda tak, że na koniec września w urzędach pracy zarejestrowanych było 908,3 tys. bezrobotnych, czyli o 42,2 tys. więcej niż rok wcześniej. W ciągu 12 miesięcy przybyło nam zatem bezrobotnych niemal tylu, ilu mieszkańców liczy średniej wielkości polskie miasto. We wrześniu 2025 r. w urzędowych rejestrach figurowało bowiem 866,1 tys. osób. Wskaźnik bezrobocia też przez rok urósł z 5,5 do 5,8 proc. Bo bezrobocie w Polsce wynosi jednocześnie 5,8 proc. i 3,4 proc. Pierwszą liczbą posługuje się polski resort pracy, drugą Eurostat. Ministerstwo opiera się na liczbie osób zarejestrowanych w urzędach pracy, zaś Eurostat bada, ilu ludzi nie ma zatrudnienia, szuka go i jest gotowych podjąć robotę. Tyle że człowiek, który nie ma pracy, nie zacznie jej mieć tylko dlatego, że według jednej metodologii jest bezrobotny, a według drugiej do bezrobotnych się nie zalicza. Firmy też nie prześcigają się w poszukiwaniu nowych pracowników. We wrześniu do urzędów pracy zgłoszono 38,1 tys. wolnych miejsc pracy i aktywizacji zawodowej. Miesiąc wcześniej było ich 35,3 tys. Powód do radości? Owszem, jeśli zapomnimy, że we wrześniu zeszłego roku zgłoszono 41,1 tys. takich miejsc. A po co bezrobotni rejestrują się w urzędach pracy? Bo nie po to, aby znaleźć robotę. Z wywiadów przeprowadzonych z nimi wynika, że 40,2 proc. jako główny powód rejestracji wskazało uzyskanie ubezpieczenia zdrowotnego, a dopiero 39,8 proc. uzyskanie pomocy w podjęciu pracy. Kim są rejestrujący się jako bezrobotni? Najwięcej, bo 13 proc. wrześniowego napływu, stanowiły osoby pracujące wcześniej w handlu. Kolejne 12,2 proc. pochodziło z przemysłu, zaś 5,6 proc. z działalności związanej z administrowaniem i usługami wspierającymi. Razem daje to niemal jedną trzecią nowych bezrobotnych, pokazując, że nawet posiadanie konkretnego fachu nie gwarantuje roboty.

● Co tam robotę? Można mieć fabrykę alkoholu, która działała przez dziesięciolecia, dysponuje budynkami, urządzeniami i całym zapleczem produkcyjnym, a mimo to nie tylko nie da się na niej zarabiać, ale nawet nie można jej sprzedać. I to pomimo obniżenia ceny o trzy czwarte. Tak właśnie dzieje się w Chełmży pod Toruniem, gdzie syndyk od początku roku usiłuje znaleźć kupca na zakłady Bioetanol. Pierwotnie chciał za nie ponad 16 mln zł. Teraz zadowoli się kwotą nieco przekraczającą 4 mln zł. I nadal nie ma chętnego, który chciałby wyłożyć kasę na przedsiębiorstwo zajmujące się wytwarzaniem alkoholu etylowego. W 2024 r. ogłoszono upadłość firmy, a cała 43-osobowa załoga straciła pracę. A nie była to gorzelnia, której powodzenie zależało wyłącznie od tego, ile butelek wódki kupią Polacy. Fabryka miała kilka rodzajów produkcji, a mimo to padła. Zostało 1,22 ha powierzchni zakładu, składającej się z dwóch działek, na których znajdują się dwa kompleksy produkcyjne i magazynowe, część socjalno-biurowa oraz zaplecze techniczne. Do tego dochodzą instalacje produkcyjne, urządzenia, środki transportu, wyposażenie biur, a nawet oprogramowanie maszyn. Ale nawet 4 mln zł nie jest dla nikogo ceną wartą tego, co w Chełmży po Bioetanolu zostało.

TTJ

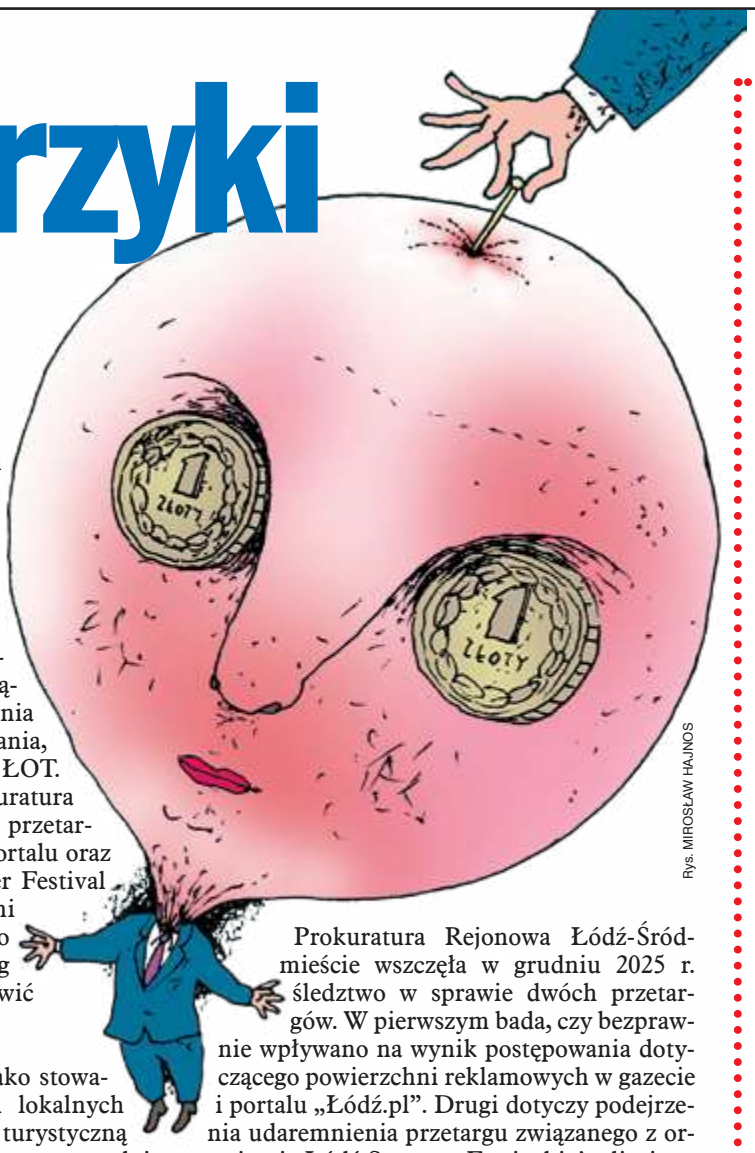


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl cba5344298

ŁOT-rzyki

Promocja po łódzku



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Miejskie miliony, składki i podejrzenia wokół przetargów. Typowa Łódź, jak mawiają mieszkańcy. Miasto i miejskie spółki przekazały Łódzkiej Organizacji Turystycznej w 2025 r. około 10,4 mln zł składek. Ta forma finansowania ma znaczenie: pieniądze nie trafiały do stowarzyszenia jako dotacje na konkretne zadania, tylko zasilały wspólny budżet ŁOT. W tym samym czasie prokuratura bada podejrzenia dotyczące przetargów na reklamy w miejskim portalu oraz przy organizacji Łódź Summer Festival i Audioriver. Pytanie nie brzmi więc tylko, ile miasto wydało na promocję, ale czy taki obieg pieniędzy i decyzji mógł ułatwić omijanie zwykłej kontroli.

ŁOT działa od 2017 r. jako stowarzyszenie miasta, instytucji i lokalnych firm. Prowadzi informację turystyczną i Kartę Łodzianina, pośredniczy w sprzedaży reklam na miejskich nośnikach oraz współorganizuje wydarzenia. Miejskie spółki nie występują tu wyłącznie jako sponsorzy: są członkami stowarzyszenia i przekazują mu składki.

Najwięcej wpłaciło miasto – około 5,4 mln zł. Aquapark Fala zadeklarował 3 mln, Holding Łódź przekazał 999 tys. zł, a EXPO-Łódź i Miejska Arena Kultury i Sportu – po niespełna pół miliona. Pozostałe miejskie podmioty wpłaciły mniejsze kwoty. Łącznie składki od miasta i spółek wyniosły około 10,4 mln zł.

Prezes ŁOT Tomasz Koralewski mówi, że składki finansują całą działalność stowarzyszenia, w tym organizację festiwalu, i nie są przypisane do konkretnych zadań. W praktyce pieniądze od różnych członków łączą się więc w jednym budżecie. To samo w sobie nie dowodzi nadużycia. Oznacza jednak, że po wpłacie trudno prześledzić, jaką rolę odegrały pieniądze poszczególnych spółek w finansowaniu konkretnych działań. Radny Kosma Nykiel zwracał uwagę, że radni nie mają wglądu w szczegółowe wydatki ŁOT, a to przecież publiczne pieniądze.

„Gazeta Wyborcza" ustaliła, że Łukasz Goss, szef Holdingu Łódź skupiającego miejskie spółki, początkowo chciał przekazać ŁOT 1,5 mln zł, ale holding wpłacił ostatecznie 999 tys. zł. Według gazety przelew przekraczający milion wymagałby zgody rady nadzorczej. Goss kierował spółką wpłacającą pieniądze i przewodniczył radzie stowarzyszenia, które je otrzymywało. Dlaczego planowaną kwotę obniżono tuż poniżej progu wymagającego zgody rady? Nie wiem, ale się domyślam.

Prokuratura Rejonowa Łódź-Śródmieście wszczęła w grudniu 2025 r. śledztwo w sprawie dwóch przetargów. W pierwszym bada, czy bezprawnie wpływano na wynik postępowania dotyczącego powierzchni reklamowych w gazecie i portalu „Łódź.pl". Drugi dotyczy podejrzenia udaremnienia przetargu związanego z organizacją Łódź Summer Festival i Audioriver, na szkodę ŁOT. Zawiadomienie złożył były pracownik stowarzyszenia.

Na przełomie kwietnia i maja 2026 r. sprawę przejęła Prokuratura Okręgowa w Ostrowie Wielkopolskim. Chodziło o to, by śledztwo dotyczące także łódzkich urzędników nie budziło wątpliwości co do bezstronności miejscowych prokuratorów. W czerwcu rzecznik ostrowskiej prokuratury informował, że śledczy gromadzą dokumenty i wzywają kolejnych świadków.

Prezes ŁOT podawał wcześniej, że budżet organizacji na 2025 r. wynosił 46,1 mln zł. W złożonym później sprawozdaniu wykazano 51,8 mln zł przychodów. Około 10,4 mln zł pochodziło ze składek miasta i miejskich spółek – mniej więcej jedna piąta przychodów organizacji. Te pieniądze zasilały wspólny budżet ŁOT. Budżet znakomity, bo niepilnowany.

Za decyzje miasta politycznie odpowiada Hanna Zdanowska, za składki spółek – ich zarządy.

ŁOT miała promować Łódź. Prokuratorskie śledztwo w sprawie przetargów to chyba nie ta kampania, o którą chodziło.

DD

Nie nasz cyrk,

Mpox w zderzeniu z polską rzeczywistością

82 przypadki do 28 października, prawie trzy razy więcej niż w całym ubiegłym roku, nowy wariant wirusa w kraju od wiosny. A Ministerstwo Zdrowia? Śpi snem sprawiedliwego, zaś na piśmie przyznaje, że szczepionki z rezerwy państwowej nie ma. Sprawdziłem, jak państwo polskie walczy z mpox, wirusową chorobą dawniej zwaną małpią ospą. Odpowiedź? Państwo przyjęło postawę z przysłowia: nie nasz cyrk, nie nasze małpy.

Diagnostyka „zrób to sam"

Mówiąc po ludzku, mpox krąży po Polsce. Światowa Organizacja Zdrowia zmieniła kilka lat temu nazwę choroby z „małpiej ospy" na „mpox", żeby nikogo nie stygmatyzować. W Polsce problem stygmatyzacji rozwiązano jeszcze sprytniej: o chorobie po prostu się nie mówi. Nie ma choroby, nie ma problemu. Nie ma też szczepionki, ale to już szczegół techniczny.

Nie będę opisywał, gdzie wyskakują pierwsze zmiany. To tygodnik polityczno-społeczno-satyryczny, a nie atlas dermatologiczny. Czytelnicy „NIE" i bez tego mają bujną wyobraźnię. Powiem tylko, że chory z gorączką, powiększonymi węzłami chłonnymi i pojedynczą zmianą skórną zadaje sobie pytanie, które w Polsce zadaje każdy pacjent z czymkolwiek nietypowym: dokąd ja mam z tym pójść?

Odpowiedź brzmi: dokądkolwiek, byle na własną rękę. Państwo nie przygotowało dla pacjenta z podejrzeniem mpox żadnej mapy. Nie ma publicznej listy miejsc, gdzie można zrobić test albo się zaszczepić, i to w żadnym województwie. Diagnostykę pacjent przechodzi więc sam, trochę jak montaż szafy z marketu: instrukcji brak, a jedna śrubka i tak zostaje.

Lekarz rodzinny diagnostyki nie prowadzi. Ministerstwo Zdrowia napisało mi 6 listopada, że test „wykonywany jest w ramach diagnostyki prowadzonej podczas hospitalizacji na oddziale chorób zakaźnych", bo „Mpox występuje w Polsce sporadycznie, a głównym obszarem występowania choroby jest Afryka". Lekarzom trudno mieć to za złe. Nikt im nie dał aktualnych polskich wytycznych klinicznych, bo takich po prostu nie ma. Jedyna broszurka przygotowana przez Krajowe Centrum ds. AIDS ukazała się dopiero w 2026 r., cztery lata po pierwszych zachorowaniach w Polsce.

Są wyjątki. We Wrocławskim Centrum Zdrowia przy ul. Wszystkich Świętych dr Bartosz Szetela przyjmuje pacjentów z HIV i chorobami przenoszonymi drogą płciową w ramach NFZ: konkretnie, kompetentnie, bez moralizowania i bez min i głupich komentarzy. Gdyby w Ministerstwie Zdrowia pracował choć jeden Szetela, ten tekst byłby o czymś zupełnie innym. Sam adres też jest symboliczny. W sprawie mpox pomóc nam mogą już tylko wszyscy święci i kilku przyzwoitych lekarzy. Doradzi też bezpłatny telefon zaufania HIV/AIDS: 800 888 448.

Złoty tydzień

Potem jest test i tu zaczyna się komedia, tyle że bez śmiechu. W prywatnym laboratorium wynik bywa po dwóch dniach. Na wynik badania szpitalnego czeka się nawet ponad tydzień. W tym czasie małpa zdąży obronić doktorat, a pacjent bez wyniku nie wie, czy ma się izolować, leczyć, czy przepraszać wszystkich, z którymi pił kawę. Państwo w swoich meldunkach nie podaje nawet, jaki wariant wirusa atakuje Polaków.

Skąd ten tydzień? Wytyczne Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego Państwowego Zakładu Higieny (PZH) z 2024 r. wskazują z nazwy jedno laboratorium w kraju: Zakład Wirusologii w Warszawie. Próbkę z Opola czy Rzeszowa wysyła się tam po wcześniejszym telefonie i na koszt placówki, która zleca badanie. Punkty, w których można anonimowo i za darmo zbadać się w kierunku HIV czy kiły, nie badają na mpox. W XXI w. wymaz jedzie do stolicy jak petent z prowincji, a wynik wraca jak pocztówka z sanatorium. Kto ma pieniądze, ma wynik w dwa dni. Kto nie ma, ma tydzień na rozmyślania.

Efekt łatwo przewidzieć. Lekarze opowiadają o pacjentach, których zmiany najpierw leczono jak opryszczkę. W Warszawie chory z gorączką i ropnymi pęcherzami poszedł do zwykłej przychodni, bo nie wiedział, dokąd się zgłosić. W Irlandii Północnej policzono, że poza poradniami zdrowia seksualnego, czyli na SOR-ach i w przychodniach, ośmiu na 10 pacjentów nie dostało testu przy pierwszej wizycie. U nas nikt tego nie liczy, więc oficjalnie problemu nie ma.

A jak to wygląda poza stolicą, choćby na Opolszczyźnie? Na stronie Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Opolu nie znalazłem o mpox ani słowa. Raport o stanie sanitarnym województwa za 2024 r. tej choroby nie wspomina. Jedyna realna droga prowadzi do poradni i oddziału zakaźnego Szpitala Wojewódzkiego w Opolu, skąd próbka i tak jedzie do Warszawy. Najbliższe placówki z oficjalnej listy punktów szczepień przeciw mpox są w Czechach. Opolanin chcący się zaszczepić ma więc do wyboru: emigrację szczepionkową albo modlitwę do Fridy Kahlo, która kochała małpy, czy do Hanumana – hinduskiego boga-małpy.

Sanepid w trybie samolotowym

Według zaleceń ministra zdrowia z sierpnia 2024 r. każdej osobie z bliskiego kontaktu z chorym przysługuje szczepienie, najlepiej w ciągu czterech dni. W tym roku kwarantanną objęto

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Młodzieniec z Ostrowca Świętokrzyskiego postanowił zwiedzić Kraków z przytupem. Najpierw w domu wybił rodzinę, a potem na Rynku Głównym urządził sobie zawody strzeleckie, kładąc trupem sześć osób i dziurawiąc 15 kolejnych. Policja z wdziękiem nazywa narzędzie mordu „karabinkiem samopowtarzalnym". Brzmi to niemal jak zabawka z odpustu, choć w rzeczywistości to maszyna do robienia z ludzi sita. Morderca był „sportowcem" z licencją i członkiem klubu w Starachowicach, co dowodzi, że w Polsce karabin dostaje się łatwiej niż termin u okulisty. Mój zmarły kolega Janusz Atlas miał rację: sport to kalectwo, a w wydaniu strzeleckim – po prostu seryjna śmierć. Czekamy na kolejne rekordy olimpijskie na polskich ulicach.

▮ Rzeszowskie lotnisko w Jasionce stało się najbardziej zatłoczonym skrawkiem polskiej ziemi, przypomina dworzec, na którym każdy przejezdny zostawia swoją armatę. Przewinęli się tam już Amerykanie, Brytyjczycy, a nawet Norwegowie i Holendrzy. Teraz, w ramach bożonarodzeniowego prezentu, Szwedzi przyślą Patrioty, a od stycznia Francuzi będą udawać, że pilnują nam nieba. Powód tego zlotu gwiaździstych mundurów jest prozaiczny: Jasionka to rura, którą Zachód pompuje żelastwo na Ukrainę. Cieszy nas ta międzynarodowa troska. Jasionka to dziś jedyne miejsce w kraju, gdzie hasło „za waszą i naszą wolność" zamieniono na „za wasz sprzęt i nasz strach". Jeśli tak dalej pójdzie, do ochrony rzeszowskiego pasa startowego zgłoszą się jeszcze Watykan z halabardami i San Marino z procami. Wszystko po to, byśmy czuli się bezpieczni jako cel numer jeden.

▮ Marcin Zieńczuk, cieśla z zawodu, a perfumiarz z wyboru, postanowił w 2024 r. uatrakcyjnić zapach władzy, wylewając gnojowicę przed Kancelarią Premiera. Prokuratura chciała mu wlepić osiem lat za skażenie środowiska. Ostatecznie zarzut skażenia upadł, a groźny buntownik dostał naganę za... gadanie przez telefon komórkowy podczas jazdy. Finał tej operetki jest czystym pięknem: skarb państwa musi wypłacić Zieńczukowi 1500 zł zadośćuczynienia za niesłuszne aresztowanie. To się nazywa państwo sprawiedliwe – najpierw cię zamkną, potem przeproszą, a na koniec zapłacą za to, że im nasrałeś na wycieraczkę.

▮ CBA zatrzymało burmistrza Sanoka Tomasza M., któremu prokuratura zarzuca próbę kupczenia etatem w miejskiej spółce w zamian za głosy radnych. Efekt: zawieszenie w obowiązkach, dozór i 30 tys. zł kaucji. Cała sprawa obnaża jednak fascynującą schizofrenię standardów w polskim życiu publicznym. Kiedy za poparcie rozdaje się ministerstwa i fotele w zarządach państwowych gigantów, z namaszczeniem mówi się o „budowaniu koalicji" i „odpowiedzialności za państwo". Kiedy jednak przedmiotem transakcji staje się skromny etat w spółce komunalnej, do akcji wkraczają CBA i prokurator. W polityce trzeba mierzyć wysoko. Korupcja na poziomie gruntu to dla służb po prostu łatwy łup, podczas gdy ta na szczytach to fundament demokracji. Tomasz M. nie przyznaje się do winy. Uważa sprawę za element walki politycznej przed referendum w sprawie jego odwołania.



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

▮ Polska niezmiennie pełni funkcję europejskiego szrotu, ze szczególnym uwzględnieniem demobilu zza Odry. Ponad połowa używanych aut, które w tym roku uszczęśliwiły naszych rodaków, przyjechała z Niemiec – choć import nieco spadł, to wciąż blisko 400 tys. sztuk germańskiej myśli technicznej zazwyczaj z niskim przebiegiem i historią, w którą wierzą tylko najbardziej pobożni użytkownicy portali ogłoszeniowych. Prawdziwym hitem statystycznym są jednak Chiny. Odnotowały wzrost o oszałamiające 527 proc. Brzmi to groźnie, dopóki nie zauważymy, że mowa o zaledwie 800 autach. Na każdy chiński wynalazek przypada 500 niemieckich wozów, co dowodzi, że polska miłość do wszystkiego, co niemieckie, jest silniejsza niż jakakolwiek unijna ideologia. Jesteśmy po prostu wierni narodowej tradycji: Niemiec płacze, jak sprzedaje, a Polak – jak jedzie do mechanika.

▮ Polscy dentyści, znani dotąd głównie z orania dłutem w ludzkich czaszkach, odkryli w sobie nową pasję: dietetykę. W 2025 r. wypisali blisko 20 tys. recept na Ozempic, lek na cukrzycę, który służy głównie do tego, by nasze narodowe szprychy mogły bez wstydu wbijać się w kostiumy kąpielowe. NFZ upiera się, że recepta od stomatologa musi mieć związek z jamą ustną. I ma. Przecież im mniej się żre, tym rzadziej trzeba otwierać gębę, co niewątpliwie oszczędza zawiasy szczękowe i chroni szkliwo przed kontaktem z cukrem. Można by rzec, że to profilaktyka najwyższej próby: dentysta odchudza pacjenta, żeby ten nie miał czego gryźć.

▮ Warszawski Ursynów, ta betonowa sypialnia, doczekał się wreszcie odrobiny egzotyki i prawdziwego ognia. 24-letni przybysz z Rwandy uznał, że oferta lokalnej pizzerii jest zbyt chłodna, postanowił więc podgrzać atmosferę, podpalając fotel. Dziewięć osób wewnątrz miało okazję poczuć dreszcz emocji, którego nie dostarczy nawet najbardziej przypalona margherita. Policja uznała motyw sprawcy oczywiście za błahy. Piromana zatrzymano z marihuaną w kieszeni i zaległym wyrokiem 15 dni odsiadki. Sąd wlepił mu trzy miesiące aresztu.

▮ Związek zawodowy Sierpień '80 uprawia radosną twórczość ekonomiczną, żądając 15 proc. podwyżki

eprasa.pl cba5344298

nie nasze małpy



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

21 takich osób, a nadzorem 13. Ile z nich zaszczepiono? Główny Inspektorat Sanitarny odpisuje, że szczepienia „nie leżą w gestii" GIS. Oto sanepid w trybie samolotowym: niby jest, ale zasięgu brak.

Problem w tym, że „przysługuje" i „jest" to w Polsce dwa różne słowa. Specjalistka chorób zakaźnych dr Karolina Pyziak-Kowalska powiedziała 24 października portalowi Wirtualnej Polski abcZdrowie: „Według mojej wiedzy szczepionka jest dziś w Polsce niedostępna". Szczepionka kwantowa, która jednocześnie była i jej nie było, wreszcie się zdecydowała: 6 listopada ministerstwo napisało mi, że szczepionka z rezerwy „nie jest obecnie dostępna", a resort „prowadzi działania zmierzające do pozyskania szczepionek". Ile dawek zamówił i kiedy przyjdą, nie napisał. Zresztą nawet gdyby była, samo szczepienie po kontakcie to za mało. Według danych zebranych przez WHO dwie dawki podane wcześniej chronią w około 82 proc., a szczepienie po kontakcie seksualnym – w około 20 proc. Stawianie wyłącznie na szczepienie po ekspozycji to jak kupowanie parasola w połowie ulewy. Można, tylko po co, skoro prognozę pogody znamy od miesięcy.

Na papierze wszystko gra. Od lutego 2026 r. rozporządzenie każe trzymać w rezerwie państwowej co najmniej 1000 dawek. Przy dwóch dawkach na osobę wystarczy to dla 500 osób na cały kraj, czyli mniej więcej dla jednej dobrze obsadzonej imprezy sylwestrowej. W programie szczepień ochronnych na 2027 r., ogłoszonym 30 października, GIS zaleca szczepienie przeciw mpox „osobom z grup ryzyka". Tydzień później ministerstwo napisało, że szczepionki nie ma. Nie kupisz jej w aptece, nie dostaniesz na receptę i nie znajdziesz listy przychodni, które ją mają. To nie jest program szczepień, to jest gra w podchody.

A teraz najlepsze. W sierpniu 2024 r. konsultant krajowy w dziedzinie chorób zakaźnych napisał czarno na białym: „nie zaleca się szczepień w populacji MSM", czyli mężczyzn mających kontakty seksualne z mężczyznami. Tłumacząc z urzędowego na polski: geje poczekają. Poczekali. Wirus nie czekał. Rok później nowy wariant krąży po Europie właśnie w tej grupie, w kwietniu dotarł do Polski, a ministerstwo w grudniu 2025 r., odpowiadając na petycję, oznajmiło, że nie ma uzasadnienia do dodatkowych działań. Proponuję to zdanie wykuć w marmurze nad wejściem do gmachu przy ul. Miodowej. Lepszego motta ta instytucja nie znajdzie.

Po co straszyć?

Teraz liczby, żeby nikt nie powiedział, że to tylko emocje. Według GIS do 28 października odnotowano w Polsce 82 przypadki mpox, 58 potwierdzonych i 24 prawdopodobne, wobec 29 w całym 2025 r. Choroba pojawiła się w 10 województwach. Te dane GIS przesłał mi 2 listopada na wniosek o informację publiczną, w komunikatach ich nie ma. Główny inspektor sanitarny mówił 12 października o około 50 przypadkach. Trzy dni później meldunki PZH pokazywały już 70.

Jest też wątek dla miłośników kryminałów. 13 kwietnia 2026 r. Polska zgłosiła Światowej Organizacji Zdrowia pierwszy przypadek nowego wariantu wirusa, kladu Ib. Genewa dowiedziała się w kwietniu, Polacy – w październiku z prasy. Dziś wiadomo, że wariant oznaczono u 38 chorych, a u 34 z nich był to właśnie Ib. Komunikatu w tej sprawie GIS nie wydał, co sam przyznaje. Państwo poinformowało więc wszystkich, tylko nie własnych obywateli. W sumie logiczne: po co straszyć ludzi, skoro i tak nie ma dla nich szczepionki?

A teraz perełka: między 21 września a 23 października, w samym szczycie fali, na stronie GIS nie znalazłem ani jednego komunikatu o mpox. Były za to komunikaty o eboli, o dżumie w Rosji i o wirusie Shamonda we Francji. Trzy razy więcej zakażeń mpox w Polsce – cisza. Najwyraźniej polski pacjent jest dla GIS za mało egzotyczny.

Do tego dochodzi kampania informacyjna, której zwyczajnie nie ma. W 2022 r. ministerstwo poinformowało w odpowiedzi na interpelację, że nie planuje specjalnej kampanii. To jedna z nielicznych zapowiedzi tego resortu dotrzymanych w stu procentach.

Konsultant krajowy zalecał w 2024 r. współpracę z organizacjami osób żyjących z HIV i społecznością LGBT. Efektów nie znalazłem. Media łączą zakażenia z imprezami chemsex, więc chory, zamiast iść do lekarza, wstydzi się i idzie do wyszukiwarki. A mpox nie jest „chorobą gejów": przenosi się przez bliski kontakt, także w domu.

Uczciwie dodam, że większość zachorowań przebiega łagodnie i w tym roku lekarze nie odnotowali w Polsce zgonów. Ale mpox to nie katar. To kilka tygodni izolacji, czasem szpital, a dla osób z nierozpoznanym i nieleczonym HIV realne zagrożenie życia. W dużej międzynarodowej serii przypadków zmarło około 15 proc. pacjentów z bardzo niską odpornością.

Europa szczepi, Polska medytuje

W tym samym czasie Europa robi rzecz niesłychaną: szczepi. Europejskie Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób pisze w październikowym raporcie wprost, że zwiększenie wyszczepienia, zwłaszcza wśród mężczyzn mających kontakty seksualne z mężczyznami, to najważniejsza interwencja. W Niemczech od 15 października 2025 r. szczepienie osób z często zmieniającymi się partnerami opłacają kasy chorych, a zrobić je może każdy lekarz z kontraktem. Holandia szczepi m.in. osoby stosujące PrEP (przedekspozycyjna profilaktyka HIV) i przedłużyła program do 2028 r. Wielka Brytania podała w rutynowym programie ponad 101 tys. pierwszych dawek. Czesi publikują imienną listę placówek szczepiących, w tym w Ostrawie. Z Opolszczyzny do czeskiej szczepionki jest dziś bliżej niż do polskiej informacji o niej.

A Polska? Do marca 2023 r. podała 261 dawek szczepionki, Niemcy – ponad 57 tys. Różnica mniej więcej taka jak między Bundesligą a drużyną na lekcjach WF w podstawówce.

Za przykład nie musimy nawet brać bogatych Niemiec. Chile od 2023 r. szczepi bez skierowania wszystkich mężczyzn mających kontakty seksualne z mężczyznami, wszystkie osoby żyjące z HIV i każdego, kto w ostatnim roku przeszedł infekcję przenoszoną drogą płciową. Jest też przykład odwrotny, czyli Meksyk. Tamtejszy rząd w 2022 r. odmówił zakupu szczepionki, a zarejestrował ją dopiero we wrześniu 2024 r. po protestach organizacji LGBT i osób żyjących z HIV. Według Panamerykańskiej Organizacji Zdrowia Meksyk ma 42 zgony na 5068 przypadków, proporcjonalnie około pięć razy więcej niż Stany Zjednoczone. Nikt nie rozstrzygnął, ile w tym winy braku szczepień, a ile późnego wykrywania HIV, ale kierunek jest czytelny. Pytanie brzmi: czy Polska chce być Chile, czy Meksykiem. Na razie ćwiczymy Meksyk i oby nie skończyło się krwawą jatką jak u Tarantino.

Żeby nie było, że tylko narzekam, jedno trzeba przyznać: cudownego leku na mpox dziś nie ma. Od 29 maja 2026 r. Komisja Europejska zdecydowała, że nowi pacjenci w Unii nie powinni zaczynać leczenia tekowirymatem, bo cztery badania nie wykazały, że działa. Warto również dodać, że niemal wszystkie zgony na świecie dotyczą osób z nieleczonym HIV. Do tego nie potrzeba cudu. Wystarczy wytyczna, zmiana podejścia i systemu opartego na profilaktyce i zapobieganiu, tego w Polsce dziś nie ma.

Ministerstwo czekania

Jeżeli resort ministry Jolanty Sobierańskiej-Grendy zrobił w tym roku coś więcej niż rozporządzenie o tysiącu dawek, których – jak sam przyznaje – nie ma, to niech się pochwali. Szukałem i nie znalazłem.

24 października wysłałem do Ministerstwa Zdrowia i do głównego inspektora sanitarnego pytania o szczepionki, testy, nowy wariant i milczenie w jego sprawie. GIS odpowiedział, ale kwestię szczepień odesłał do ministra zdrowia i Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, testy w anonimowych punktach – do Krajowego Centrum ds. AIDS, a laboratoriów, jak pisze, nie nadzoruje. Ministerstwo zapytane, czy planuje zmienić zalecenia, odpisało, że „plany i działania niezatwierdzone" nie są informacją publiczną. Zgaduję, że niebawem dowiem się, że „monitoruje sytuację". Monitorować to oni potrafią znakomicie. Gorzej z działaniem.

Pani ministro, nie potrzeba rewolucji ani nowej ustawy. Wystarczy zrobić to, co robią nasi sąsiedzi i co zaleca Europa:

– szczepić przed kontaktem tych, którzy są najbardziej narażeni: mężczyzn uprawiających seks z mężczyznami, osoby trans z grup ryzyka, osoby stosujące PrEP i osoby żyjące z HIV,

– zapewnić szczepionkę każdemu, kto miał styczność z chorym, i to naprawdę, a nie tylko w rozporządzeniu,

– opublikować w każdym województwie listę miejsc, gdzie można się zbadać i zaszczepić,

– uruchomić testy w laboratoriach wojewódzkich i w punktach anonimowych testów, żeby wynik nie jechał tydzień,

– wydać lekarzom wytyczne obejmujące testy na HIV i kiłę przy każdym podejrzeniu mpox,

– powiedzieć ludziom prawdę: ile jest przypadków, w których województwach i jakiego wariantu.

Dziś najlepiej radzi sobie ten, kto trafi na lekarza, który wie, co robi, i kogo stać na prywatny test. Nie każdy ma takie szczęście i nie każdy ma na to pieniądze.

A państwo, które opiera ochronę zdrowia na szczęściu i zasobności portfela, to nie państwo, tylko loteria, w której los na ogół wyciąga pacjent, a nagrodę zgarnia wirus. Nikogo nie trzeba straszyć: wiemy, jak zapobiegać mpox. Wystarczą: szczepionka, test bez szpitala i rzetelna informacja. Trzeba zacząć działać teraz, zanim wirus opanuje Polskę. Bo on, w przeciwieństwie do ministerstwa, na odpowiedź nie czeka.

GRZEGORZ JAN JANICZAK

działacz społeczno-polityczny,
publicysta LGBT TV

---

dla górników z Polskiej Grupy Górniczej. Fakt, że firma w 2025 r. utopiła blisko 5 mld zł, nie mąci spokoju Bogusława Ziętka. W polskim górnictwie gigantyczna strata to przecież tylko tradycyjny wstęp do kolejnego haraczu. Logika Ziętka jest rozbrajająca: twierdzi on, że gdyby PGG sprzedawała węgiel energetyce po cenach rynkowych, byłby zysk. Osobliwa wizja – jedna państwowa kieszeń miałaby łupić drugą kieszeń, żeby górnik mógł godnie żyć, a reszta obywateli mogła z dumą płacić potrójne rachunki za prąd. To się nazywa solidarność, tyle że polega ona na wspólnym składaniu się na luksusy dla branży, która fedruje głównie deficyt.

▮ Gmina Miejska Kraków po raz pierwszy odnotowała bezpośredni zysk z organizacji Cracovia Maratonu. Zarząd Infrastruktury Sportowej, który przygotował bieg w 2025 r., zamknął budżet imprezy kwotą ponad 3,1 mln zł. Wpływy z opłat startowych oraz od sponsorów przewyższyły te koszty o ponad 150 tys. Wypracowana nadwyżka zasiliła kasę samorządu. Dyrektor ZIS Tomasz Marzec wskazał, że osiągnięcie tego wyniku było możliwe dzięki pozyskaniu firmy Tauron jako sponsora tytularnego.

▮ Na Gubałówce doszło do rzadkiego aktu sprawiedliwości społecznej. Zamiast górali łupiących turystów pojawili się profesjonaliści, którzy złupili bankomaty. O świcie wyleciały w powietrze dwie kasetki z gotówką. Policja z zacięciem kinomana analizuje nagrania z monitoringu, na których widać trzech zamaskowanych dżentelmenów. Skoro identyczny numer wycięto tam w czerwcu 2025 r., mamy do czynienia z nową zakopiańską tradycją. Zgodnie z ludową mądrością: do trzech razy sztuka. Czekam na finał tej trylogii, który ostatecznie udowodni, że w Zakopanem bezpieczna jest tylko pazerność gospodarzy, a nie pieniądze w ścianie.

▮ Prezydent Karol Nawrocki podpisał nowelizację, która od 1 stycznia pozwoli gminom pobierać opłatę miejscową bez spełnienia wymogu czystości powietrza. Jej maksymalna stawka wzrośnie do 5 zł za noc. Dotychczas turyści potrafili zepsuć samorządom atmosferę, wygrywając procesy o pobieranie pieniędzy za pobyt w smogu. Tak było choćby w Zakopanem. Teraz jakość powietrza przestanie być warunkiem wprowadzenia opłaty, a gminy odetchną z ulgą. Turyści – tym, co będzie. Skoro smog przeszkadzał w pobieraniu pieniędzy, usunięto przeszkodę z przepisów.

▮ Lewica proponuje, by od czerwca 2027 r. podatek od nieruchomości przestał być opłatą od metrażu, a stał się haraczem od wartości. Projekt zakłada 0,02 proc. dla pierwszej i drugiej nieruchomości, natomiast przy trzeciej i kolejnych stawka ma wynosić 0,5 proc. i systematycznie rosnąć. Liczyć się będzie stan posiadania w całej Polsce. Wartość wyliczy się najpierw według wskaźników wojewódzkich, a od 2028 r. na podstawie cen transakcyjnych z Portalu Danych o Obrocie Mieszkaniowym. Rady gmin będą mogły doliczać swoje za lokalizację czy wiek budynku. Całość jest biurokratycznie karkołomna, ale technicznie wykonalna. W każdym razie żarty z katastrem się skończyły.

▮ Słupca od stycznia funduje mieszkańcom bolesną lekcję higieny: im więcej pijesz i się myjesz, tym drożej wyrzucasz. Opłata śmieciowa skacze o 50 proc. z 8 do 12 zł za metr sześcienny zużytej wody. Samorząd przez trzy lata uprawiał finansową wstrzemięźliwość, podczas gdy koszt utylizacji tony odpadów spuchł z 527 do 927 zł. Teraz, gdy system przestał się bilansować, samorząd Słupcy łata dziurę gwałtownym szarpnięciem za portfele. W planach są plastikowe kubły zamiast drogich worków i nowy PSZOK, ale morał dla władzy lokalnej jest jasny: odkładanie podwyżek to nie dobroć, to kumulowanie wściekłości suwerena. Kto nie podnosił po trochu, ten teraz musi rżnąć do kości.

▮ Postęp polega na tym, że dawniej, żeby komuś zaszkodzić, trzeba było mu nasikać do mleka, a dziś wystarczy smartfon. CERT Polska odkrył 140 lodówek przemysłowych, które mają ambicje towarzyskie i łączą się z siecią, pozwalając każdemu nudzącemu się gówniarzowi na zdalne sterowanie temperaturą mrożonek. Hakerzy, zamiast wykradać kody do rakiet jądrowych, postanowili na razie zaatakować dwie lodówki – w sklepie i u dystrybutora. Minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski z miną godną proroka zagłady donosi, że we Francji padło już 700 supermarketów. Skoro przez telefon można „zabić" lodówkę, to lada chwila doczekamy się buntu pralek i szantażu ze strony zmywarek. Opowieści o podsłuchujących czajnikach przestają być domeną mitomanów i pacjentów zakładów zamkniętych. Czekam z utęsknieniem, aż mój własny toster zacznie nadawać raporty o moich śniadaniach bezpośrednio do prokuratury.

RJ

PS Uwaga! Powyższe doniesienia zaczerpnięto z prasy krajowej. Redakcja przyjęła je w pełnym składzie, bez zbędnych przesłuchań. Które z nich są prawdą, które półprawdą, a które zwyczajną brednią, pozostaje tajemnicą gminną i inną. Czytelnik ma zachować czujność. W razie rozbieżności między komunikatem a rzeczywistością do wyjaśnień stawi się rzeczywistość.

eprasa.pl cba5344298

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Niekiedy podczas pogrzebu słyszę „kanonizację" zmarłych, stwierdzenia, że są w domu Ojca, doświadczają radości nieba…* ***Takimi stwierdzeniami możemy zmarłym zaszkodzić, pozbawiając ich koniecznej modlitwy w dojrzewaniu do chwały zbawionych.***

ks. Janusz Chyła, X, 2 listopada

■ *W „miasteczku" utworzonym przy Trybunale Konstytucyjnym już od ponad 50 dni codziennie odmawiane są Koronka do Miłosierdzia Bożego i Różaniec Święty. Miałem zaszczyt kilkakrotnie przewodniczyć tej modlitwie, która jest wyrazem troski o Polskę i miłości do Ojczyzny.* ***Codziennie modlą się tam protestujący oraz wspólnota „Jesteśmy z Tobą" tworzona przez ludzi, którzy od kampanii prezydenckiej w 2025 r. wspierają modlitwą prezydenta Karola Nawrockiego. (…) Obecnie bardzo trudna sytuacja w Polsce grozi wojną domową, jeśli eskalacja represji i agresji, rozwiązań siłowych przez Trybunałem Konstytucyjnym nabierze rozpędu ze strony rządu. Trzeba się modlić, aby nie doszło do rozlewu krwi Polaków. Z różańcami w ręku jesteśmy silni i mamy wpływ na bieg historii. (…) Chciałbym też zaznaczyć, że modlitwa różańcowa jest wyrazem duchowej łączności z głową państwa, bo sam Pan Prezydent codziennie odmawia dziesiątek Różańca Świętego za tych, którzy modlą się za Ojczyznę i za niego. To niezwykła duchowa więź, która jest bardzo silna.***

ks. prof. Jarosław Wąsowicz, „Nasz Dziennik", 5 listopada

■ *Polityka jest roztropną troską o dobro wspólne, nie jest „Grą o tron". (…) Widzimy, że strony polityczne są w sytuacji patu dyplomatycznego czy patu dialogalnego.* ***Dlatego tutaj mediacja jest niewątpliwie potrzebna. Kościół z racji swojej funkcji niejednokrotnie taką rolę pełnił, ma do tego predyspozycje, narzędzia, pojęcia i przede wszystkim wartości, które powinny w takich negocjacjach być przedłożone. (…) Kościół nie zajmuje się techniką sprawowania władzy, nie opowiada się za konkretnym ustrojem, ale opowiada się za sprawiedliwością społeczną. Opowiada się za tym, co jest rdzeniem roztropnej troski o dobro wspólne, a więc sprawiedliwość społeczna, a więc wartości, które mogą tworzyć dobro wspólne. I to jest misja Kościoła, (…) bo człowiek jest drogą Kościoła.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 5 listopada

■ *Proszę, aby osoby popierające aborcję* ***wstrzymały się z przyjmowaniem Komunii Świętej do chwili nawrócenia.***

ks. Daniel Chyła, X, 4 listopada

■ *Rolą nas, katolików, jest oczywiście udział w życiu publicznym, ale udział naznaczony naszą wiarą.* ***Elementem tej wiary jest nasza modlitwa, jest także nasza ofiarność, w tym wypadku właśnie post. (…) Za sprawą modlitwy i postu działy się niejednokrotnie w dziejach Polski i świata wydarzenia bardzo znaczące. Nie traktujmy tego w sposób rytualny czy takiej odezwy. (…) To jest apel do naszych sumień i serc; apel, na który musimy odpowiedzieć.***

dalej Bortkiewicz



Rys. WIDGET

■ ***Prezydent Karol Nawrocki ma w sobie gen zwycięstwa, który wynika z faktu, że jako katolicy, uczniowie Chrystusa, jesteśmy urodzonymi zwycięzcami.*** *Cały czas musimy o tym pamiętać. Pan Jezus na drzewie krzyża ostatecznie zwyciężył zło tego świata.* ***Dlatego my, Jego uczniowie, nie możemy przegrać. Mając tę świadomość, łatwiej pokonywać wszelkie trudności.***

dalej Wąsowicz

KLECHA

Wokanda i komisja

Wyroki boskie są niezbadane, a ludzkie – nieprawomocne

Zostawić ich na dwa tygodnie, tych polskich biskupów... Jeden dostał wyrok, a pozostali robią wszystko, żeby zrzucić z siebie odpowiedzialność za podwładnych.

Bepe Andrzej Jeż z Tarnowa został skazany nieprawomocnym wyrokiem na dwa lata ograniczenia wolności za niezgłoszenie w odpowiednim czasie organom ścigania przestępstw seksualnych popełnionych przez dwóch podległych mu księży. 25 proc. jego miesięcznego wynagrodzenia będzie potrącane na rzecz Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Musi też wpłacić po 10 tys. zł na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej. Biskup zadeklarował przed sądem że jego pensja to ok. 4800 zł, więc będą mu potrącać ok. 1200 zł miesięcznie. Kuria zapowiada apelację.

Ta deklaracja wzbudziła jedynie pusty śmiech. Na papierze wszystko się zgadza: oficjalna wypłata z kurii może tyle wynosić. Tylko że – pomijając już to, że taki biskup za nic nie płaci, wszystko ma pod nos podstawione – wypłata z kurii stanowi śmieszny ułamek jego realnych dochodów: tych wszystkich „ofiar" za usługi, przysługi i uświetnianie imprez swoją obecnością. Wyrok zażenował znającego kościelne realia jak mało kto ks. prof. Andrzeja Kobylińskiego. Księdza w środowisku traktowanego jak parias, bo zwraca uwagę na kościelne patologie. – Z wyroku wynika, że te 25 proc. będzie dotyczyć pensji, czyli swego rodzaju dodatku lub deseru, a nie całego wynagrodzenia To najbardziej nonsensowna rzecz w całym wyroku, bo nie uwzględnia realnych dochodów biskupów w naszym kraju. Jestem tym głęboko zszokowany. Znakomita większość dochodów pochodzi z ofiar pieniężnych otrzymywanych przez biskupów od proboszczów w parafiach przy okazji bierzmowań, wizytacji kanonicznych, kazań odpustowych, uroczystego poświęcenia odnowionych organów czy wyremontowanej wieży kościelnej, jubileuszu parafii itp. Stała pensja, określona na podstawie umowy o pracę, jest najczęściej zupełnie nieistotnym elementem realnych dochodów biskupów w naszym kraju. Trudno zrozumieć ignorancję sądu w tym obszarze – komentował Kobyliński.

Pozostali biskupi przejęli się chyba tym – jakkolwiek bądź – bezprecedensowym wyrokiem. 1200 zeta miesięcznie w kieszeni mniej to nie w kij dmuchał, nie mówiąc już o upokorzeniu poprzez zeznawanie przed byle cywilem w sędziowskiej todze. Fiolet sędziowskiej togi to nie ten sam kolor co biskupi fiolet. Duchowni przed świeckim sądem to osobliwe zwierzęta. Pokazał to proces przeciwko byłemu już księdzu Janowi Wodniakowi, który wytoczył mu Janusz Szymik, ofiara eksduchownego. Proces trwa. Ostatnio zeznawał przed sądem były delegat diecezji bielsko-żywieckiej ds. ochrony dzieci ks. Klaudiusz Dziki. Nie chciał gadać, dopóki sąd nie zacznie go tytułować księdzem. Poskutkowała dopiero groźba grzywny.

Wcześniej w tej samej sprawie zeznawał Dziwisz, któremu z wielkim bólem przyszło odpowiadać na pytania śmiertelników. Był wielce zdziwiony całą sytuacją i oczywiście prawie nic nie pamiętał poza tym, że wiernie służył papieżowi. A jeszcze wcześniej zeznania składał 88-letni dziś bp Tadeusz Rakoczy, który zaprezentował księżowski tok myślenia. – Jakże ja jako kapłan i biskup, współpracownik papieża, mógłbym stać po stronie przestępstwa? W tej sprawie zrobiłem wszystko, co było dla mnie możliwe, a decyzje podejmowałem zgodnie z moim sumieniem. Jeżeli była jakaś pomyłka, to nie moja wina – wyjaśnił sądowi. 30 listopada do sądu ma wpaść kard. Grzegorz Ryś ze swoją wersją wydarzeń.

Na to wszystko wychodzi episkopat ze swoją komisją. Wreszcie! Czekamy na nią prawie cztery lata i – jak można było się domyślać – w trakcie powstawania wybito jej wszystkie zęby i założono biskupie chomąto oraz klapki na oczy. Komisja nazywa się tak długo, jak powstawała: Komisja Niezależnych Ekspertów do Zbadania Zjawiska Wykorzystywania Seksualnego Osób Małoletnich w Kościele Katolickim w Polsce.

Ukonstytuowanie się tego ciała nie oznacza, że ruszy z kopyta i zaraz będziemy mieli raporty o klerykalnej pedofilii. Co to, to nie. Wstępne efekty prac komisji mogą pojawić się w 2029 r.



Ilustr. KROKODYL

Na przewodniczącego komisji powołano historyka, prof. Piotra Franaszka. Przewodniczący w latach 2016–2023 był członkiem Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej, a w latach 2006–2010 krakowskim radnym z ramienia PiS-u. Jest także oblatem benedyktyńskim, czyli takim jakby świeckim zakonnikiem. Oblat nie składa wprawdzie ślubów, ale zobowiązuje się żyć w zgodzie z regułą św. Benedykta w codziennym życiu. Nieźle, jak na niezależnego eksperta. Co może pójść nie tak?

Pan przewodniczący zapowiada, że nie należy oczekiwać od komisji cudów, bo on najpierw musi znaleźć solidnych współpracowników, a potem podjąć – nomen omen – benedyktyńską pracę nad archiwami diecezji i zakonów. W pierwszym wywiadzie udzielonym KAI prof. Franaszek zapowiada swoją bezstronność, ale także zasadę ograniczonego zaufania potencjalnym ofiarom. „Musimy pamiętać o ryzyku konfabulacji, czyli tworzenia relacji, które nie znajdują potwierdzenia w faktach. Zdarza się, że na podstawie niezweryfikowanych zarzutów powstaje cała opowieść, prowadząca do publicznego oskarżania konkretnej osoby. Nie oznacza to, że należy z góry podważać relacje osób skrzywdzonych. Każda sprawa wymaga jednak rzetelnego zbadania. Samo oskarżenie nie jest jeszcze dowodem, podobnie jak brak dokumentacji nie zawsze oznacza, że dane wydarzenie nie miało miejsca. Komisja musi analizować dostępne źródła, weryfikować informacje i zachowywać ostrożność w formułowaniu wniosków. Nie możemy pozwolić, by emocje zastępowały badanie faktów" – tłumaczy przewodniczący.

Komisja nie może też pozwolić, by fakty zastąpiły teorię o świętości Kościoła. Bo jeśli teoria nie zgadza się z faktami, tym gorzej dla faktów.

MATT KOBOSKO

Wiara czyni suba

Ksiądz, który się wkurwił

Istnieje kategoria księży-influencerów, internetowych celebrytów, którzy zapewniają, że swoją sławę wykorzystują do ewangelizacji. Ich przełożeni na początku patrzą na te kariery przez palce, bo każdy klecha z własną grupką fanów to korzyść dla Kościoła. Zwłaszcza że te gwiazdy w początkowej fazie dzielą się hajsem z górą i są w miarę posłuszne. Z czasem jednak zamiast wody święconej do głowy uderza im sodowa, a popularność pcha w konflikty ze zwierzchnikami. Subskrypcje, lajki, rozpoznawalność i powodzenie materialne zwalniają hamulce i pchają w ramiona pokus. U szczytu kariery zaczynają się też pojawiać podejrzenia finansowe i seksualne, jak to wśród celebrytów bywa.

Księdzem z tej kategorii jest Rafał Główczyński, salwatorianin znany w internecie jako „Ksiądz z osiedla". Pseudonim oddaje styl bycia: Główczyński zachowuje się jak ziomek z blokowiska, który przy okazji jest księdzem, ale takim innym niż wszyscy. Tańczy, śpiewa, rapuje, nawraca nienachalnie. Mniej oficjalna ksywka to „ksiądz mefedron", bo można odnieść wrażenie że ciągle jest pod wpływem środków pobudzających. Sam twierdzi jednak, że jego hajem jest wiara, która przecież pierze czerep nie gorzej niż dragi. Główczyński to człowiek o niespożytej energii, wszędzie go pełno. Jego sława wyszła poza sieć: wystąpił w trzeciej edycji programu rozrywkowego „The Traitors. Zdrajcy" emitowanego przez TVN. Program opiera się na manipulacji, intrygach, kłamstwie i psychologicznej grze pozorów, w której nikt nikomu nie ufa. Wygrywa ten, kto najlepiej kłamie. „Ksiądz z osiedla" oczywiście nie mógł wygrać, bo okazałoby się, że łganie i manipulacja idą mu jak z płatka, co nie byłoby najlepszą wizytówką dla kleru.

Ksiądz Główczyński wykorzystuje swoje zasięgi do zbierania pieniędzy na coraz to nowe inicjatywy. Wszystkie w założeniu mają służyć głoszeniu Dobrej Nowiny, ale w każdym przedsięwzięciu na pierwszy plan wybija się postać 40-letniego zakonnika, który być może i nie korzysta z używek, ale jest uzależniony od atencji. Jedną z jego bardziej znanych inicjatyw są klubokawiarnie „Cyrk Motyli" – miejsca bez alkoholu, działające na zasadzie „płać, ile możesz". Jedna z nich działała na bulwarach wiślanych w Warszawie, druga w Piastowie.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Miał szersze plany: zakup barki na Wiśle, która miała stać się kolejną pływającą klubokawiarnią oraz domu rekolekcyjno-wakacyjnego na Maderze. Ale swoją barkę będzie musiał pozostawić na brzegu, a zamiast wygrzewać się na Maderze, pozostaje mu chłód kościoła w Trzebnicy. Przełożeni wpierw wysłali go na dolnośląską parafię, a w końcu zakazali kontaktów z mediami, prowadzenia kont w mediach społecznościowych, organizowania zbiórek charytatywnych oraz angażowania się w działalność świeckich stowarzyszeń i firm.

Gdy dostał bilet do Trzebnicy, napisał w mediach społecznościowych (cenzurując brzydkie słowa): „Wkurwiłem się. Przepraszam za słownictwo, ale jak czytam oświadczenie moich przełożonych, to inaczej nie potrafię. Od 3 miesięcy w każdy wolny dzień zapierdalam do pracy i żebrzę, żeby coś dla młodzieży zrobić. Wszyscy o tym mówili, mnóstwo ludzi mnie wspierało, oni w niczym nie pomogli". Przełożeni zapewniali wprawdzie, że nie ma „zastrzeżeń natury moralnej czy finansowej pod jego adresem", ale zakupy barki i nieruchomości na Maderze wykroczyły poza ich wyobrażenie o ślubach posłuszeństwa, ubóstwa i czystości.

„Ksiądz z osiedla" nie składa broni. „Ślubowałem posłuszeństwo. Ale nie milczenie" – napisał w jednym z ostatnich legalnych wpisów.

Z jego kontaktami i zasobami może się okazać, że ewentualny rozwód będzie boleśniejszy dla zgromadzenia salwatorianów niż dla samego Głowczyńskiego. On sobie poradzi: jak zacznie gadać, co widział i słyszał jako zakonnik, to zacznie się nowy etap kariery. W końcu raz już wystąpił w programie „Zdrajcy".

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl cba5344298



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Futbol w służbie polityki i biznesu

Łączy i dzieli

Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej (FIFA) od lat ma gębę pełną najpiękniejszych wartości sportu: pokój, braterstwo, tolerancja, równość. Szczególnie zdecydowanie walczy z rasizmem. Za obrażanie piłkarzy ze względu na kolor skóry można dostać wysoką grzywnę, może dojść do zamknięcia stadionu, a nawet do przerwania meczu. Gorzej, gdy dyskryminacją zajmuje się nie pijany kibic, lecz rząd państwa organizującego mistrzostwa świata. Dla nich zasady FIFA są elastyczne. Zwłaszcza jeśli państwo jest bogate, wpływowe i ma do zaoferowania wielomiliardowy rynek.

Spójrzmy zresztą na ostatnie trzy mundiale: Rosja Putina, Katar emirów i wreszcie Stany Zjednoczone Donalda Trumpa organizujące turniej wspólnie z Kanadą i Meksykiem. Trudno nie dostrzec pewnego wzoru. Światowa rodzina FIFA wyjątkowo dobrze odnajduje się w towarzystwie potężnych polityków, monarchów i ludzi, którzy nie przepadają za krytycznymi pytaniami. W rodzinie najważniejsze jest porozumienie. Szczególnie w sprawach finansowych.

Sportowe podsumowania MŚ 2026 dawno za nami. Pod koniec października Złotą Piłkę „France Football" otrzymał Anglik Harry Kane, jeden z najlepszych zawodników turnieju. Nieco wcześniej własnego podsumowania mundialu dokonały organizacje patrzące na współczesny futbol nieco inaczej niż FIFA: z perspektywy zwykłych kibiców, obywateli i praw człowieka.

Z opublikowanego 13 października 50-stronicowego raportu „Profit Over People" (Zyski ponad ludźmi), przygotowanego przez Sport & Rights Alliance i Football Supporters Europe, wyłania się obraz imprezy, podczas której szczytne ideały światowego futbolu regularnie przegrywały z polityką imigracyjną, interesami finansowymi i potrzebami organizatorów. Autorzy wskazują na dyskryminacyjne ograniczenia wizowe, masowe zatrzymania migrantów, bariery dla dziennikarzy i osób z niepełnosprawnościami oraz astronomiczne ceny biletów. FIFA, choć dysponowała ogromnymi wpływami, nie wykorzystała ich do skutecznej ochrony uczestników i lokalnych społeczności. Znacznie chętniej promowała polityków i samą siebie.

Spalony przy kontroli paszportowej

Jednym z bohaterów raportu jest somalijski sędzia piłkarski Omar Artan. Miał ważną amerykańską wizę, mimo to na lotnisku w Miami został poddany 11-godzinnemu przesłuchaniu, po którym odmówiono mu wjazdu do kraju.

Nie jest to zaskakujące. Donald Trump od dawna nie ukrywa szczególnej niechęci do Somalijczyków. W grudniu 2025 r. nazywał somalijskich imigrantów śmieciami, mówił, że są głupi, skorumpowani, niczego nie wnoszą do Ameryki. Słów Trumpa FIFA nie dopuściłaby na stadionowym transparencie. Sędzia Artan przekonał się, że w amerykańskim futbolu istnieje jeszcze jeden rodzaj spalonego. Można znaleźć się na niewłaściwej pozycji już w chwili urodzenia. A decyzji sędziego granicznego nie da się podważyć za pomocą VAR.

Amerykańskie restrykcje wjazdowe obejmowały obywateli prawie 40 państw. Problemy z wizami dotykały również uczestników turnieju, w tym reprezentację Iranu. Trudno o bardziej oryginalną interpretację hasła „Football Unites the World": futbol jednoczy świat, a służby graniczne dokonują jego ponownego podziału.

W tle mundialu trwała także intensywna działalność amerykańskiej służby imigracyjnej ICE. Według danych Human Rights Watch przed rozpoczęciem mistrzostw funkcjonariusze dokonali ponad 167 tys. zatrzymań w 11 amerykańskich miastach-gospodarzach. Podczas samego turnieju egzekwowanie przepisów imigracyjnych jeszcze się nasiliło. W ciągu zaledwie pięciu dni pod koniec czerwca w całych Stanach Zjednoczonych zatrzymano około 10 tys. osób. Nie zatrzymywano ludzi na samych stadionach, ale mundial odbywał się w atmosferze strachu przed deportacjami, która dla mieszkańców i przyjezdnych była bardziej realna niż reklamowana przez FIFA atmosfera braterstwa.

Rasizm? Zapraszamy do loży VIP

Współczesny futbol słusznie chwali się walką z rasizmem. FIFA i UEFA prowadzą kampanie społeczne, nakazują wywieszanie antydyskryminacyjnych haseł, karzą federacje i kluby za rasistowskie zachowania kibiców.

I nie są to wyłącznie symboliczne gesty. Jeszcze w sierpniu FIFA ukarała argentyńską federację grzywnami w łącznej wysokości 321 tys. dol. m.in. za rasistowskie i dyskryminacyjne zachowania kibiców podczas mundialu. Reprezentacja miała również rozegrać dwa kolejne mecze u siebie z widownią ograniczoną o połowę, choć wykonanie części sankcji zawieszono. Z kolei UEFA w lutym 2026 r. ukarała Benficę grzywną 40 tys. euro i nakazała częściowe zamknięcie stadionu za rasistowskie zachowania kibiców podczas meczu z Realem Madryt.

A zatem futbolowe organizacje potrafią identyfikować dyskryminację, wydawać surowe komunikaty i sięgać po dotkliwe sankcje. Przynajmniej kiedy sprawcą jest kibic albo piłkarz. Kiedy podobna pogarda wobec ludzi ze względu na ich pochodzenie pojawia się w wypowiedziach prezydenta państwa-gospodarza, sprawa robi się znacznie bardziej skomplikowana. FIFA nie ma wprawdzie prawa karać głów państw tak jak piłkarskich federacji, ale ma ogromny wpływ na wybór gospodarzy, organizację imprezy i relacje z władzami. Mogłaby z tego wpływu korzystać, choćby publicznie domagając się poszanowania praw uczestników. Zamiast tego prezydent FIFA Gianni Infantino w grudniu 2025 r. wręczył Donaldowi Trumpowi pierwszą w historii Pokojową Nagrodę FIFA.

Najwyraźniej rasizm stadionowy i dyskryminacja państwowa należą do dwóch zupełnie różnych kategorii. Za obraźliwe okrzyki z trybun można dostać zakaz wstępu na stadion. Za podobne wypowiedzi z Białego Domu można dostać puchar ze sztucznego złota.

Futbol dla wszystkich. Bilety – niekoniecznie

Istotnym kryterium selekcji kibiców okazała się zawartość portfela. Mistrzostwa Świata w 2026 r. ustanowiły rekordy cen biletów. W kwietniowej sprzedaży zwykłe wejściówki na finał kosztowały nawet 10 990 dol. FIFA wprowadziła wprawdzie specjalną pulę biletów za 60 dol. dla kibiców reprezentacji, ale dostęp do nich był mocno ograniczony. Do tego dochodziły koszty lotów, hoteli, przemieszczania się między miastami oraz samych wiz. Kibiców potraktowano jak skarbonkę. Współczesna FIFA odkryła, że prawdziwa miłość do futbolu powinna być bezcenna. Dlatego może kosztować dowolnie dużo.

Oczywiście na stadionach nie brakowało osób, dla których ceny biletów nie stanowiły większego problemu. Podczas transmisji mundialowych kamery z wielkim upodobaniem pokazywały celebrytów, polityków, hollywoodzkich aktorów i dawne sportowe gwiazdy zasiadające w ekskluzywnych lożach. Można było odnieść wrażenie, że to właśnie oni są najważniejszymi kibicami świata.

Ci zwyczajni, którzy przemierzają tysiące kilometrów za reprezentacją, śpiewają przez 90 minut i wydają na wyjazdy oszczędności życia, pozostają niezbędni, ale przede wszystkim jako element scenografii. Ktoś przecież musi machać flagami w tle, kiedy kamera pokazuje Toma Cruise'a.

To właściwie idealny model współczesnego futbolu. Kibic z biletem za 10 tys. dol. dostarcza przychodów, kibic z bębnem – atmosfery. Pierwszy jest klientem, drugi – elementem wyposażenia stadionu.

Dziennikarz? Prosimy nie przeszkadzać

Problemy dotyczyły również dziennikarzy. Stany Zjednoczone spadły w ostatnich latach z 45. na 64. miejsce w indeksie wolności prasy. Organizacja Reporterzy bez Granic zwracała uwagę na przypadki przemocy, zatrzymań i deportacji dziennikarzy, a FIFA zarzuciła niejasne procedury akredytacyjne, brak odpowiedniej koordynacji w sprawach wizowych i lekceważące podejście do kontaktów z mediami.

FIFA nie ma obowiązku ułatwiać dziennikarzom życia. Mogliby przecież zacząć zadawać niewygodne pytania. Na przykład o to, dlaczego organizacja potępiająca dyskryminację kibiców tak słabo reaguje na dyskryminacyjne praktyki państw goszczących turniej. Zresztą komu potrzebna jest dociekliwa prasa, skoro social media dają dostęp bezpośrednio do kibiców? Dziennikarze FIFA z pewnością znacznie lepiej wiedzą, jakie pytania powinien usłyszeć prezydent FIFA. A przede wszystkim, jakich nie powinien.

Drogi mecz o nic

Zastrzeżenia wobec mundialu nie ograniczały się jednak do kwestii praw człowieka. FIFA postanowiła bowiem również gruntownie zreformować sam futbol, powiększając turniej z 32 do 48 drużyn. Oficjalnie chodziło o większą reprezentację całego świata i szansę dla państw, które wcześniej mogły tylko marzyć o awansie. To ważny argument. W praktyce jednak mistrzostwa rozrosły się z 64 do 104 spotkań, a z fazy grupowej awansowały aż 32 z 48 zespołów. Czyli dwie trzecie uczestników.

Awans wywalczyli nie tylko zwycięzcy grup i drużyny z drugich miejsc, ale również osiem z 12 zespołów zajmujących trzecie lokaty. Eliminacja po trzech spotkaniach stała się zatem osiągnięciem. Można było nie wygrać żadnego meczu i nadal zachować nadzieję na awans. Porażka, remis, kolejny remis – i można było już myśleć o fazie pucharowej. Na takim mundialu nawet Polska mogłaby poczuć się jak kandydat do medalu.

Rozszerzenie sprawiło, że część spotkań grupowych była o nic, a pierwsza faza rozgrywek straciła na znaczeniu. Powstało za to 40 dodatkowych okazji do sprzedawania biletów, reklam i praw telewizyjnych.

Nie bez znaczenia jest także polityczna arytmetyka: więcej miejsc na mundialu to więcej zadowolonych federacji, a każda federacja dysponuje głosem w wyborach władz FIFA. Reforma, która przyniosła FIFA więcej pieniędzy i mogła zadowolić większą liczbę jej członków, wyjątkowo szczęśliwie połączyła ideały sportowe z interesami organizacji.

Swoją drogą FIFA powinna pójść za ciosem. Na kolejnym mundialu mogłyby wystąpić 64 reprezentacje, na następnym 96, aż wreszcie wszyscy członkowie federacji. Wtedy każdy prezes wróciłby zadowolony, a transmisja mistrzostw trwałaby nieprzerwanie od jednych mistrzostw do następnych.

Mundial pod wieloma względami był sukcesem. Wielkie amerykańskie stadiony, na których na co dzień rozgrywa się mecze futbolu amerykańskiego, robiły ogromne wrażenie. Znakomita infrastruktura, widowiskowa oprawa, globalne zainteresowanie. Sportowo i organizacyjnie nie brakowało powodów do zachwytu. Problem zaczynał się wtedy, gdy od pięknych stadionów odwracało się wzrok i zaglądało za kulisy. Tam był już futbol doskonale znany z ostatnich dekad: rozbudowana machina biznesowa, uprzywilejowani sponsorzy, politycy w lożach VIP i wielkie deklaracje o wartościach.

Zwykły kibic w tym modelu jest mile widziany, dopóki płaci i dostarcza odpowiednich obrazków. Nie powinien przeszkadzać w prowadzeniu interesów. Najlepiej, żeby był bogaty, miał odpowiedni paszport i nie zadawał pytań.

Los Angeles 2028. Sprzątanie ludzi

W 2028 r. Los Angeles zorganizuje igrzyska olimpijskie. Ponownie usłyszymy piękne słowa o pokoju, solidarności, równości i łączeniu ludzi ponad podziałami. Tym razem wyzwaniem może okazać się nie tylko wpuszczenie odpowiednich ludzi do kraju, ale również usunięcie nieodpowiednich.

Badacze z dwóch kalifornijskich uniwersytetów oszacowali, że w promieniu jednej mili od planowanych obiektów olimpijskich przebywa blisko 6 tys. osób w kryzysie bezdomności. Przygotowywane strefy bezpieczeństwa mogą doprowadzić do ich „przemieszczenia". Organizatorzy deklarują poszanowanie praw mieszkańców. Miejmy nadzieję, że oznacza to coś więcej niż prawo do pozostawania bezdomnym daleko od stadionu. Los Angeles stoi przed decyzją: pomóc bezdomnym czy posprzątać ich tak, by nie zobaczyły ich kamery. Mieszkania buduje się latami. Człowieka z chodnika można usunąć znacznie szybciej. Wszystko sprowadza się do pytania, czy wielkie imprezy sportowe mają pomagać rozwiązywać problemy społeczne, czy jedynie sprawiać, żeby przez kilka tygodni nie było ich widać.

Jeśli igrzyska w Los Angeles ograniczą się do przenoszenia tysięcy bezdomnych poza zasięg kamer, powstanie zupełnie nowa konkurencja olimpijska: zbiorowy bieg donikąd. Bez medali, bez zwycięzców i bez mety. Z piękną ceremonią otwarcia.

LEON ORŁOWSKI

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: AWŁ JDG
wolklaniewska@wp.pl

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Walstead CE Poland, Starachowice
info@walstead-ce.com

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 10.11.2026 r.

„NIE" w komórce

Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl cba5344298

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– A jednak wydaje mi się, że dałbym radę… – prezydent Nawrocki nie dawał się przekonać. – Po prostu zatkałbym uszy na to, co on powie, i mówiłbym swoje.

Szefernaker, szef gabinetu prezydenta, patrzył w jakiś odległy punkt na horyzoncie.

– Nie masz szans – powtórzył. – Nie dość, że zrobi z ciebie marmoladę, to jeszcze opowie o tym mediom.

– Nie mówi się o tym, co zaszło podczas rozmowy w cztery oczy – zaoponował prezydent. – To byłoby wbrew dobrym obyczajom.

– Uwierz mi, on zmiesza cię z błotem, przestrzegając zasad i zachowując maniery.

– Wyjdę na tchórza…

– Lepsze to od całkowitej kompromitacji. – Szefernaker nie przestawał patrzeć w dal. – Rafał niepotrzebnie bąknął, że szef mógłby się zgodzić.

– Powiedziałem tylko to, co szef mi kazał – oburzył się Leśkiewicz, rzecznik prasowy prezydenta. – Bo…

– A ja co mówię? – przerwał mu Szefernaker. – Że zanim coś powiecie albo zrobicie, to pięć razy pomyślcie. Zbyszek nie pomyślał, jak zawracał samolot znad Hiszpanii i radził szefowi wejść do trybunału. I jak to wyszło?

– Nie tak źle… – bronił się Bogucki, szef Kancelarii Prezydenta Rzeczpospolitej.

– Bardzo źle – szepnął szef gabinetu. Nigdy się nie unosił, nie wrzeszczał i nie przeklinał. Głosem zimnym jak stal po prostu wydawał wyroki. – Szef znów wyszedł na prostaka o bardzo małym rozumku.

– Tylko nie na prostaka, tylko nie na prostaka… – próbował zaprzeczać Bogucki. – Nie zapominaj, że mówisz o głowie państwa…

– Nie zapominam. W przeciwieństwie do was myślę poważnie o reelekcji szefa, a nie tylko o tym, żeby dokopać Tuskowi. Zatem powtarzam: szef nie jest gotowy na spotkanie z premierem w cztery oczy. To byłoby jak spotkanie jastrzębia z królikiem.

– Tylko nie jak z króli… – zaczął szef kancelarii, lecz natychmiast się zamknął.

– Co więc robić? – bezradnie zapytał Leśkiewicz.

– To, co mówię, żebyście robili – odparł Szefernaker. – Szef wetuje, uśmiecha się, pręży muskuły, a wy recytujecie w mediach to, co wam napiszę. Ani słowa więcej, ani słowa mniej. Zrozumiano?

Nawrocki skwapliwie kiwnął głową. Leśkiewicz i Bogucki również, lecz Boguckiemu przeszło przez myśl, że Szefernaker za bardzo się rządzi.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA była w Katowicach, a **JOANNA SENYSZYN** jak zwykle ostatnio w Zielonej Górze. Szczęśliwie żadna nie w Krakowie.

Wołk-Łaniewska: – Nie było nas dwa tygodnie, a tu się tyle wydarzyło, dobrego i bardzo niedobrego… Od czego zaczynamy?

Senyszyn: – Chyba od Krakowa. Choć naprawdę trudno coś powiedzieć, nie wplątując w to polityki, bo kiedy pojawia się ogień, każdy polityk chce upiec swoją pieczeń. Więc najlepiej wspólnie pomilczeć. Tak było w Zielonej Górze pod Filharmonią. Żadnych przemówień, tylko znicze i okolicznościowa muzyka rodem z Krakowa.

– Nawet prezydentowi wraz z premierem udało się pomilczeć w Krakowie na Marszu Ciszy…

– Milczenie nie udało się za to min. Kierwińskiemu, który błyskawicznie po zamachu ogłosił, że sprawca był zafascynowany ideologiami skrajnie prawicowymi…

– Tu cię zaskoczę…

– Będziesz bronić Kierwińskiego?

– Nie spodziewałam się, że kiedyś mi się to przydarzy, ale tak. Flaga Gadsdena, którą zamachowiec miał na środku ściany w swoim pokoju, jest rzeczywiście symbolem szczególnie paskudnego prawactwa.

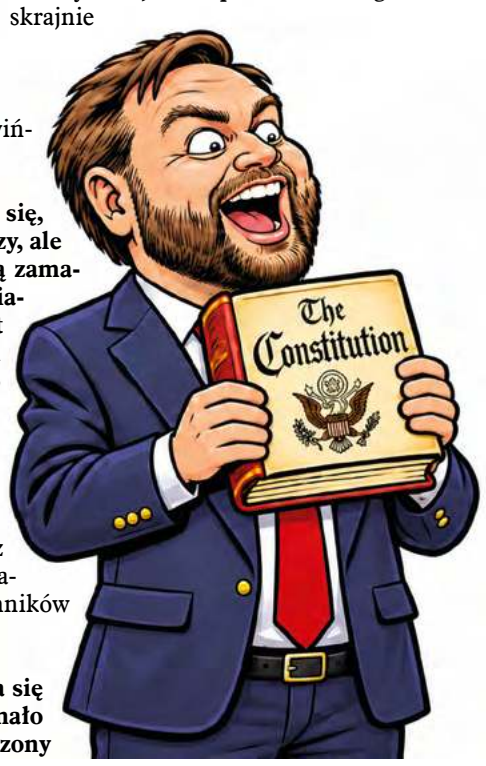
– Powstała w czasie amerykańskiej rewolucji, ale podczas wojny secesyjnej została zaadoptowana przez Południe i odrzucona przez Północ – i rzeczywiście została uznana za symbol zwolenników niewolnictwa…

– Też. Ale w XXI w. stała się symbolem Tea Party. Dziś mało kto to już pamięta, ale zrodzony w 2007 r. nurt republikanów zwany Tea Party był ruchem, z którego wypączkowała MAGA Trumpa. To była taka faszyzująca, ultralibertariańska prawica, która zdominowała Partię Republikańską po zwycięstwie Obamy – i kolor jego skóry nie był w tej sprawie bez znaczenia. A główną linią ataku Tea Party na Obamę była obamacare – czyli próba zagwarantowania wszystkim Amerykanom opieki zdrowotnej. Średnio udana skądinąd, właśnie dzięki taki świrom jak Tea Party.

– Warto też wspomnieć, że podczas ruchawki na Kapitolu 6 stycznia 2021 r. Gadsden był dumnie obecny.

– Więc jeśli ktoś wiesza sobie na ścianie akurat Gadsdena, to raczej nie jest czerwonym terrorystą. I ja oczywiście rozumiem, że Kierwiński, ze swoim bardzo małym rozumkiem, powiedział to, żeby przypieprzyć Nawrockiemu i PiS-owi, ale tu akurat coś było na rzeczy. To jest taki prawacki symbol oporu przeciwko „przemocy ze strony władzy”…

– Ale czy zamordowanie własnej rodziny, od czego wszystko się zaczęło, miało podłoże ideologiczne?





Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Tego oczywiście nikt nie wie. I nikt się nie dowie, skoro zamachowiec nie przeżył. Wielka strata, bo takie osoby trzeba badać, analizować, w miarę możliwości leczyć – to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, co dzieje się w głowach ludzi, którzy ruszają na taki morderczy rajd i jak temu zapobiec. W tej kwestii stanowczo przedkładam wiedzę nad sprawiedliwość, toteż radowanie się ze śmierci Oksińskiego uważam za po prostu głupie. Zmieniając temat na pogodny…

– Niech zgadnę: Ameryka.

– Yeah, habibi!

– Rozumiem, że fetujesz zwycięstwo Abdula El-Sayeda.

– Absolutnie!

– Może wyjaśnijmy tym, którzy nie słyszeli: Abdul El-Sayed to nowo wybrany senator ze stanu Michigan…

– Dokładnie nazywa on się: Abdulrahman Mohamed El-Sayed, co wprawiało Trumpa w stan erotycznego wręcz podniecenia.

– No nie przesadzaj, prezydent nie mówił o tym, jaki Abdul ma piękny tyłek, w odróżnieniu od kandydatów republikańskich, których cztery litery chwalił na okrągło. Męskie pośladki szczególnie koncentrowały uwagę przywódcy wolnego świata w tym sezonie wyborczym.

– Inne części ciała też. Np. senator Jon Husted z Ohio ma nie tylko „kupę mięśni” w miejscu dupy, ale także „palce jak kiełbaski”…

– Nigdy bym nie przypuszczała, że to może być komplement.

– Prezydent Trump widać lubi kiełbaski. I męskie tyłki. Obstawiam, że to przejaw rozhamowania, wiążącego się z otępieniem czołowo-skroniowym. Wracając do Abdula, który przez całą kampanię był obiektem nieprawdopodobnie rasistowskiej nagonki ze strony tak prezydenta, jak i wiceprezydenta USA: w swoim wystąpieniu po zwycięstwie zwrócił się do Vance'a czule: „JD! Habibi! Jest rozkoszna ironia w tym, że jesteś konstytucyjnie zobowiązany do tego, żeby zaprzysiąc mnie w styczniu”…

– Chyba że Vance spotka się z Karolem Nawrockim, który mu wytłumaczy, że konstytucyjny obowiązek zaprzysięgania jest fakultatywny i dotyczy tylko tych, których dana administracja uważa za godnych zaprzysiężenia.

– Może mu tego nie podpowiadajmy, bo ja naprawdę chcę zobaczyć Abdula jako senatora USA. Jego „JD, habibi” porwało internet szturmem i zagłuszyło inne sukcesy demokratów, np. Jamesa Talarico, który został senatorem z Teksasu.

– Teksas – najbardziej konserwatywny stan USA – przeszedł kompletną transformację: ma demokratycznego senatora, demokratyczną gubernatorkę Ginę Hinojosę, która będzie pierwszą Latynoską na tym stanowisku, demokratyczną wicegubernatorkę, demokratycznego prokuratora generalnego… Bardzo mnie ucieszyła wiadomość, że w brazylijskim portugalskim „talarico” to facet, który odbija drugiemu żonę albo narzeczoną. James Talarico odbił cały republikański stan.

– À propos wyborów: jak tam w Zielonej Górze?

– Na początek przypomnę Zielonogórzanom: wybory uzupełniające do senatu, w których kandyduję, są już 22 listopada.

– Ja pamiętam, wyobraź sobie, bo to rocznica zamachu na Kennedy'ego.

– A to dobrze czy źle?

– Ani jedno, ani drugie. Fun fact, jak mówią Amerykanie.

– Tak średnio „fun”, ale zostawmy to. Kampania trwa, choć robi się niemiła. Sztab kandydatki Różańskiej zakleja plakaty konkurencji i okłamuje wyborców, że to ja nie chcę debaty. Trzeba nie mieć wstydu, żeby tak postępować.

– Arogancja tej władzy będzie źródłem jej upadku, obawiam się. Z całym szacunkiem dla pani wdowy, pomysł, żeby zaproponować wyborcom osobę, o której poglądach, charakterze, osiągnięciach kompletnie nic nie wiadomo, i powiedzieć: wybierzcie ją, bo Donald tak chce – jest doprawdy brawurowy. Dlatego apelujemy do wyborców z Zielonej Góry: zagłosujcie na Senyszyn, choćby po to, żeby politykom koalicji rządzącej się do końca w dupach nie przewróciło.

– Są też inne powody, ale nie będę ich wymieniać przez skromność.

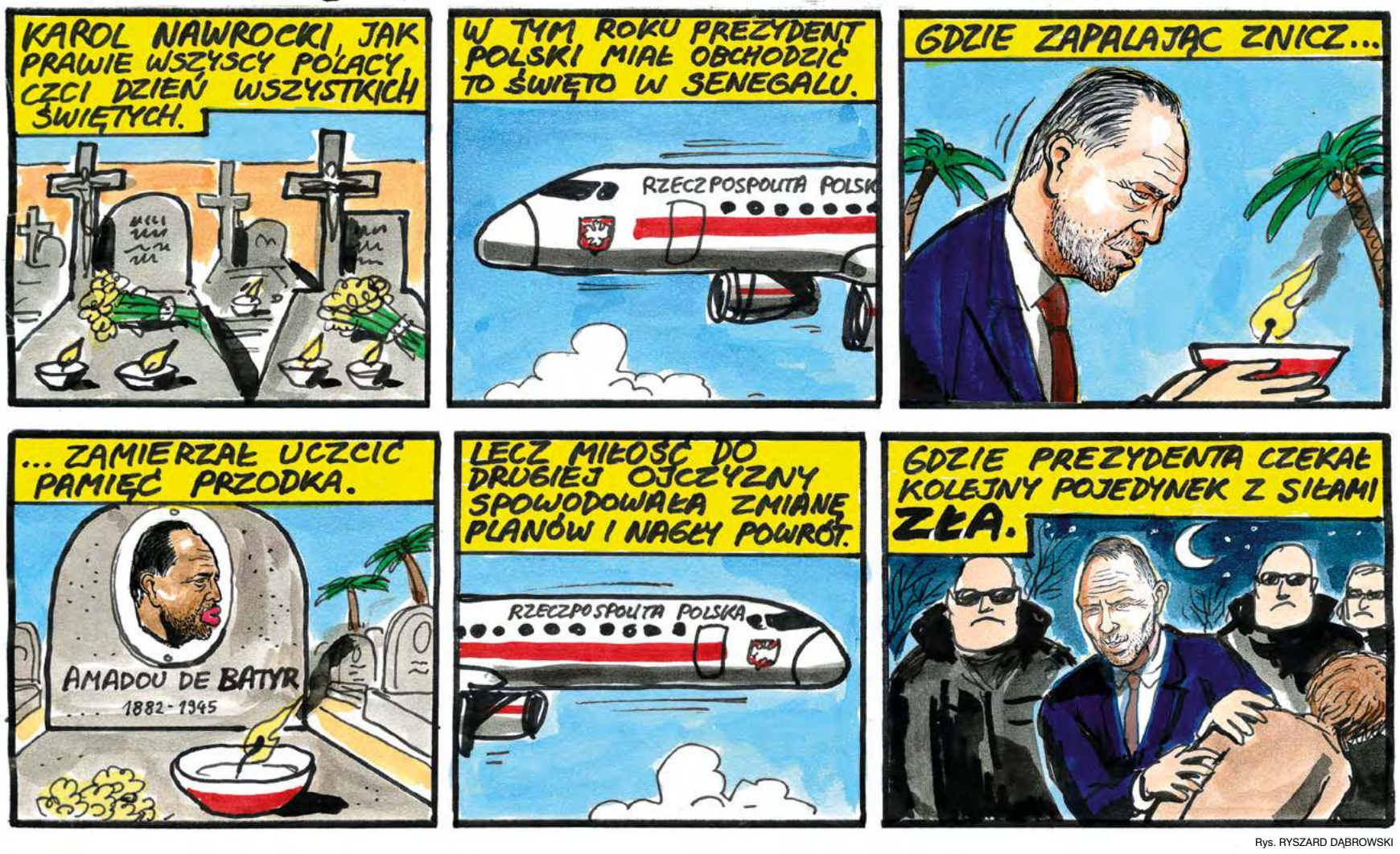
– No i nie zdążyłam ci opowiedzieć o Katowicach. A byłam na „Hamlecie” po śląsku i jestem zachwycona.

– Opowiesz następnym razem.

– Nie omieszkam.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl cba5344298